

Wiadomości Polskie

THE POLISH NEWS WEEKLY

POLITYCZNE I LITERACKIE TYGODNIK

W NUMERZE:

Jan Lechoń: Do Szekspira. — Antoni Słonimski: Wiosna warszawska. — Jerzy Stempowski: W dolinie Dniestru. — Stanisław Krzysztof: Walka o Górny Śląsk. — Marja Kuncewiczowa: Poranek w Komedji Francuskiej. — Aleksander Hertz: Narodowości Stanów Zjednoczonych wobec wojny. — Ksawery Pruszyński: Północny „blackout”. — Zygmunt Nowakowski: Włoch o Polsce. — Alfa: Rozmaitości. — Korespondencja. — Czytelnicy o „Wiadomościach Polskich”. — Skarbnica Polska: Franciszek Karpiński: Pieśń o Narodzeniu Pańskim. — Antoni Gorecki: Samo-Sierra. — Jan Smolik: Pieśń. — Stefan Żeromski: Na prośbiewie w Wyszkowie. — Franciszek Bohomolec: Pieśń Kurdeżowa. — Franciszek Morawski: Wisła. — Antoni Czajkowski: Pająk.

ROK II — NR. 14 (56) — LONDYN NIEDZIELA 6 KWIENTNIA 1941

REDAKCJA: 36, GREAT RUSSELL ST., LONDON, W.C.I. Telefon: MUSEUM 2346 i 2563
ADMINISTRACJA: 20, BLOOMSBURY ST., LONDON, W.C.I. Telefon: MUSEUM 9093
CENA PRENUMERATY kwartalnie w Anglii 6s. 6d. w innych krajach \$1.50

Należność za prenumeratę prosimy przekazywać czekiem lub „Postal Order” na zlecenie: M. I. KOLIN (Publishers) LTD.

JAN LECHOŃ

Do Szekspira

*Szekspirze! Któryś zstąpił do dusz naszych głębi
I znasz krwi naszej żądzę i nasz lek gołębi,
Znasz nas od dna do szczytu!
Coś zszedł w noc bezsenne władców krwią pijanych
I w marzenia promienne kobiet zalochanych,
Stęsknionych do błękitu!*

*Przed którym groby żadnych nie miały tajemnic,
Leż duchów dla Ciebie z mrocznych wyszło ciemnic,
Z postać swoich się zlekle!
I niebo uchylało przed Tobą obłoków
I Tobie wydawało część swoich wyroków,
A zbrodnie swoje — piekło!*

*Kto rzekł żeś Ty przeminał? Inne stroje jeno!
Dla Twojego teatru cały świat dziś scena,
Twojego głosu żęda!
I każdy z nas, niepomny czem jego istnienie,
Nagle teraz znów widzi swoje przeznaczenie,
Znowu w niebo pogląda.*

*I oto Ryszard trzeci opuszcza swe tożę,
Jakieś światło się świeci w zamku w Elsinorze,
Cezar wstał o północy,
Patrzy na swoją gwiazdę, co w dali zagasa,
I żalostnie zabrzmiąły trąby Fortynbrasa,
Wzywające pomocy.*

*Szekspirze! Ty, którego nic tu nie przeraża,
Chodź! Weźmy jakąś czaszkę z wielkiego cmentarza,
W który świat jest zmieniony,
I patrząc w nią, słuchajmy jako szumią drzewa
I ptak wśród nich ukryty jak po nocy śpiewa
Dla koszarów z Weroni!*

*Daj głos władcóm wyjątkóm i wianietóm trwożóm,
Skamieniałóm z rozpaczóm, co psukać nie mogą,
I własnej kłeski sprawcy!
I tym, co jak Król Anglii w deszczu ognia stoja,
Uśmiechnięci, bo ufni w dobrą sprawę swoją
I w miłosierdzie Zbawcy.*

*Będziemy iść za Tobą spokojnie, bo któżby
Wątpił że się spełniają prorocstwa i uróżby?
I nie potop ze stali
Ale ten ma zwyciężyć, który pysznych kruszy,
I będzie ze z „Makbeta” las jak wojsko ruszy
I mordercę powali.*

JAN LECHOŃ.

ANTONI SŁONIMSKI

Wiosna warszawska

*Wysła dziewczyna nocą przed próg,
Owiał ją ciepły wiatr wiosny,
Włosy potargał, rzucił do nóg
Uśmiegią gązkię sosny.*

*Wysła dziewczyna w wiejący mrok,
Na piersi obciaga chustkę,
I słucha wiatru, podnosząc wzrok
Na nieba bezgwiazdną pustkę.*

*Wyszedł robotnik cicho przed dom,
Wiatr synął piaskiem i kurzem.
Oczy ociera, broniąc się tżom,
I wolno wznosi ku górze.*

*Stoi plecami wsparty o mur
W wiatru gorących podmuchach.
Goniąc oczyma gniewny pęd chmur,
Zastygł w milczeniu i słucha.*

*Powoli każda brama i sieć
Czerni się tłumem milczącym.
I stoi w mroku przy cieniu — cieniu
W wiosennym wietrze gorącym.*

*Dziewczyna mówi: „Ty wróciłeś, wiem,
W sławie i w blasku i w mocy.
To wszystko było tylko złym snem”.
I usta podaje nocy.*

*Robotnik mówi: „Nadleć i grzmij
Ogniem, piorunem co błyska.
Choćby w me piersi i w dom mój bij!”
I gniewnie pięści zaciska.*

*A między tłumem przeszedł, jak duch,
Szept co wtrąca tym glosom:
„Uciszcze serca, natęście słuch
I zaufajcie niebiosom”.*

ANTONI SŁONIMSKI.

JERZY STEMPOWSKI

W DOLINIE DNIESTRU

FRAGMENTY WSPOMNIENI

Na świat przyszedłem w rodzinie polskiej na Ukrainie w r. 1894.

Słowa te, z pozoru tak proste, wymagają dziś mnóstwa objaśnień. Rzecz w tem, że narodowość rodziców miała w owych czasach nieco inne znaczenie niż dziś. Pokolenie młodsze przyzwyczało się uważać narodowość za pewnego rodzaju fatum rasowe, ciężką dziedziczną na każdym nowonarodzonej. Każdy, mówiono nam, rodzi się Niemcem czy też murzynem i później dopiero ewentualnie staje się człowiekiem, jeżeli wogóle już dochodzi do takich ostateczności.

Do doliny Dniestru pojęcia te zostały przyniesione z Zachodu stosunkowo późno, i nie jestem pewien, czy i dziś jeszcze nie są tam rzeczą nową i obcą. Na zachodzie Europy widzimy wszędzie wzdłuż granic językowych zamki warowne, mury, szanice, świadczące że walczono tam przez długie czasy o każdą wieś, o każdy łan. Za naszej pamięci toczyły się zażarte walki o posiadanie każdej szkoły, każdej fabryki, każdego sklepiku, każdego wreszcie pakietu akcji. W ogniu tych walk narodził się Zachodu potrafiły tu i ówdzie ustalić mniej lub więcej pewnie swe granice, wypędzić obcych, odmówić wiz cudzoziemcom i wytworzyć pozory jednolitości wewnętrznej.

Za mojej pamięci w Europie wschodniej nie było jeszcze nic podobnego. Cała ogromna część Europy, leżąca między morzem Bałtyckim, morzem Czarnym i Adriatykiem, była jedną wielką szachownicą ludów, pełną wysp, enklaw i najdziwniejszych kombinacji granic i mieszkań.

W wielu miejscach każda wieś, każda grupa społeczna, każdy zawód niemal mówił odmiennym językiem. W mojej ojczyźnie dolinie Średniego Dniestru ziemianie mówili po polsku, włościanie po ukraińsku, urzędnicy — po rosyjsku z odcieniem odeskim, kupcy — po żydowsku, cieśle i stolarze — jako filiponi i starobródzowcy — po rosyjsku z odcieniem nowogrodzkim, kabanicy mówili swem własnym narzeczem. Prócz tego w tej samej okolicy były jeszcze wsie szlachty zagrodowej mówiącej po polsku, takżeje szlachty mówiącej po ukraińsku, wsie moldawiańskie mówiące po rumuńsku; Cyganie mówili po cygańsku, Turków wprawdzie już nie było, ale w Zachodzie po drugiej stronie Dniestru i w Kamieńcu stały jeszcze ich minarety. Przewoźnicy na Dniestrze nazywali jeszcze wciąż brzeg podolski Łaczczyzną i brzeg besarabski Turzczyzną, jakkolwiek i Polska i Turcja należały tam już do dość odległej przeszłości.

W jarach i lasach mieszkali nadto poza osiedlami t.zw. jarowi ludzie, o dzikich brodach i niepewnym spojrzeniu, którzy napozór nie mówili żadnym językiem. Pomijam tu już drobniejsze osobliwości w rodzaju Bucniowic, gdzie wszyscy Żydzi byli obywatelami tureckimi i nigdy nie służyli w wojsku, ponieważ najmłodszy z nich według paszportu liczył pięćdziesiąt lat wieku. Wszystkie te odcienie narodowości i języków znajdowały się nadto w stanie częściowo płynnym. Synowie Polaków stawali się nieraz Ukraińcami, synowie Niemców i Francuzów — Polakami. W Odesie działy się rzeczy niewyżłkie: Grecy stawali się Rosjanami, widziano Polaków wstępujących do „Sojuza Russkawo Naroda”. Jeszcze dziwniejsze kombinacje powstawały z małżeństw mieszanych. „Jeżeli Polak żeni się z Rosjanką, — mawiał mój ojciec, — dzieci ich są zwykłe Ukraińcami lub Litwinami”.

Stosunkowo płynność narodowości utrzymywała w potentatach administracji carskiej nadzieje, że przy pomocy pewnego nacisku uda się przerobić wszystkich na Rosjan. Nadzieje te były ponne. Presja administracji nie tylko nie zmniejszyła liczebnie narodów starszych, ale budziła do życia ludy coraz nowsze. Za mojej pamięci rozwinęły się właśnie ruchy narodowe ukraiński, litewski i białoruski.

Wielu stosunkowo zmieniło język ojczyzny, ale żaden z tych języków nie ginął. Za mojej młodości kilka z nich, z narzeczy chłopskich rozwinęło się w piękne języki literackie, w których pisano pełne nieznanego przedtem uroku wiersze. Gdy jedna z tradycji narodowych zaczynała słabnąć, z narodowości sąsiednich przybrywali neofici, by ją podtrzymała.

Tajemnica tych dziwnych i zawiłych procesów była w istocie rzeczy bardzo prosta. W czasach tych narodowość nie posiadała charakteru nieuniknionej fatalności rasowej, ale w znacznej mierze była

dziełem wolnego wyboru. Wybór ten nie ograniczał się do języka. W dolinie Dniestru, przez którą przeszły echa tyłu wielkich cywilizacji, każdy język niósł w sobie inne tradycje historyczne, religijne, społeczne, każdy stanowił pewną postawę moralną wytrawioną wiekami tryumfów, klęsk, marzenia i sofistyki.

Wybór ten nosił czasami cechy oportuinizmu. Coś podobnego widziałem podczas moich ostatnich wędrowek w Użhorodzie, który teraz przybrał znów węgierską nazwę Ungvár. Na głównej ulicy zwanej Corso słyszałem wyłącznie mowę węgierską. Pewien stary obywatel tego miasta, na moje pytanie, czy w Użhorodzie zawsze było tak wielu Węgrów, odpowiedział:

— Eh, nie. I teraz niema ich wielu. Zmienili się tylko urzędnicy, ale spacerowiczycie Corsa są zawsze ci sami. Za czasów austriackich mówili po niemiecku i po węgiersku, za czeskich — po czesku, za ukraińskich — po ukraińsku, dziś znów mówią po węgiersku.

Częściej jednak wybór taki pochodził z głębokiego namysłu i posiadał niemałą siłę przekonania. W ostatnich czasach widziałem kilka takich osobliwych wyborów. W czasach kiedy zasięg języka rosyjskiego cofnął się aż poza granice sowieckiej Republiki Białoruskiej i Ukrainy, powstały w różnych miejscach grupy używające z wolnego wyboru języka rosyjskiego. Przed kilku laty widziałem w Krzemieniu zamężne rodziny żydowskie mówiące w domu po rosyjsku, nie odcie-

niałby przynajmniej wytłumaczenie historyczne, ale najstaranniejszym akcentem petersburskim, pochodzącym z zamilowania i z lektury najlepszych autorów. Również na Rusi Przykarpackiej część inteligencji stara się mówić po rosyjsku. W pewnym miasteczku odwiedziłem redakcję miejscowej gazety drukowanej w dziwnym języku rosyjskim, niezręcznym i archaicznym, z którego uśmiełby się niemało mieszkańiec Petersburga. Zastąpiłem tam głównych współpracowników. Jeden z nich pochodził z mieszanego małżeństwa polsko-rosyjskiego i spędził dzieciństwo w Warszawie, drugi zaś, mówiący najpoprawniej i którego wzięłem zrazu za emigranta z Rosji, okazał się byłym oficerem austriackim. Najwidoczniej zdala od źródeł, w zmiennym biegu historii, język Moskwy i Petersburga miał już wygasnąć w Karpatach, ale z całego świata zbiegli się tam różni ludzie, by iskrę łącające w popiele rozdmuchać. W tym samym czasie Władysław Chodasewicz, Polak z ojca i matki, zajął miejsce pierwszego poety rosyjskiego.

W mojej młodości tego rodzaju procesy nurtowały całe kresy wschodnie starej Rzeczypospolitej. Życie wewnętrzne grup narodowościowych pogłębiało się i rażowało przez ponownie dokonywane wybory indywidualne i niezbędne do tego interpenetracje, wybór bowiem wymaga rozważenia przynajmniej dwóch alternatyw w całej ich rozciągłości, staniąc na rozdrożu, z którego widać od wewnątrz obie drogi. Za mego dzieciństwa dawne kresy ukraińskie były takim wielkim rozdrożem, z którego, oprócz wszystkich bocznych ścieżek, wychodziły cztery drogi: jedna prowadziła do Kijowa, druga do Krakowa, trzecia do Petersburga i czwarta wreszcie, która wówczas nie prowadziła jeszcze do Palestyny, ukazywała w końcu wielką księgę, łączącą w tajemniczy sposób niezmierzony zróżniczkowany świat Izraela.

Ta droga nie była w ścisłym znaczeniu przedmiotem wyboru. Był kto nie mógł zostać Żydem. Czynniki wyboru miał tu nieco inną postać. Wśród Żydów wybierano przyjaciół i towarzyszy pracy. W majątku mego wuja, Feliksa Hanickiego, nawet część służby folwarcznej składała się z Żydów. Wieczorem główny ekonom, Fiszal Grubman, z czarną brodą i twarzą spaloną przez słońce na kolor starej cholewy, przychodził na naradę gospodarską. Gdy mój wuj nie był zeń zadowolony, wkładał okulary i witał go zimno słowami: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!”. Była to aluzja do tego, że Fiszal ma gojowską głowę i że zrobił jakieś głupstwo. Czuli na takie aluzje Fiszal schylał smutno swój „gojowski Kopyt” i z rezygnacją odpowiadał: „Nu, niech będzie”.

Wychowany w tych tradycjach, doznałem — podobnie jak wielu moich rówieśników — niemałego rozczarowania, kiedy spotkałem się potem w Polsce z uczuciami narodowymi objawianymi halabaliwie, wyzywająco, niemal bezwstydnie. Manifestacje takie wydały mi się czemś w bardzo złym smaku, dobrem co najwyższe dla dorobkiewiczów i prostaków.

Pojęcia te, wyniesione z doliny Dniestru, pozostały dla mnie żywe i aktualne, nawet wtedy gdy inne wspomnienia mojej bliższej ojczyzny pokryły się mgłą oddalenia. W okresie 1919—1939 byłem świadkiem wielu nieprzejednanych walk narodowościowych, w których akty przemocy i brutalstwa podzieliły, zdawało się, niepowrotnie na wrogie grupy całą Europę wschodnią. Stara cywilizacja tej części kontynentu, która na przestrzeni wieków dała życie tylu różnym ludom, zdawała się należeć do przeszłości. Mam jednak wrażenie, że zmiany te były raczej powierzchowne niż istotne. Nacjonalizm na modłę zachodnią zniszczył jedynie zwierzchnią warstwę ludów, ich inteligencję. Lud nie brał udziału w walkach i egzaltacjach. Nawet w tej nieznośnie dusznej i przykrej atmosferze, jaką wytworzyła się na naszych kresach po t.zw. pacyfikacji Małopolski Wschodniej, wystarczało odejść dalej od urzędów, gazet i organizacji społecznych, aby wszędzie słyszeć słowa pojednania i przebaczenia. Dla ludzi mego pokolenia, już przed czasem samotnych i smutnych w tym niegościnnym klimacie moralnym, słowa te posiadały doniosłe znaczenie.

Dolina Dniestru pełna była wspomnień historycznych, pamiętek po wszystkich wielkich cywilizacjach Europy. Kolonie greckie, powstałe na północnym brzegu morza Czarnego na długo przed bitwą pod Salaminą, promieniowały głęboko w głąb stóp. Już przed Grekami inne ludy

spalone słońcem. Potem bywali tam Rzymianie, których potomkowie utrzymali się dotąd w dolinie Dniestru. Wędrowki ludów starły z oblicza ziemi wiekocześnie pamiętek starożytnych. Kilka łacińskich kurhanów starczy drogi, które mi mało znane ludy ciągnęły przez Ukrainę. Inne ludy, idące bliżej morza, zostawiały na swej drodze kamienie ciosane zgruba w formie kobiet, t.zw. baby. Nie wiemy dobrze, z jakich pobudek noszono tak ciężkie kamienie przez niezmiernie stopy, bezdroża i trudne przeprawy na rzekach. Patrząc na kurhany i „baby”, widzimy przy pracy ludy które zachwiała potęgą Rzymu. Po zaspokojeniu głodu i pragnienia, ludy te rozporządzały jeszcze niebezpieczną nadwyżką energii.

W w. XVI, po tysiącach latach migracji i inwazji, podróży opisują Ukrainę jako olbrzymi pusty step, zamieszkały na południu przez Tatarów pasterskich. Obraz ten wydaje się jednak mocno powierzchowny. W ogrodzie, w którym spędziłem pierwsze lata dzieciństwa, stały trzy stare drzewa deneru, posadzone tam przed wiekami dla zaznaczenia miejsca. U stóp ich leżał kamienny krzyż z XI w., obok którego znajdował się grób przedhistoryczny. Zdala od dróg uczęszczanych przez ludy wędrowne i wojownicze, życie bieгло nieprzerwanie, pokolenia po pokoleniu ustępowały miejsca pokoleniom górczańskim, i pobożna ręka, na modłę starożytną, znaczyła groby drzewami przywiezionymi z Azji Mniejszej.

Łacina pojawiała się dwukrotnie w dolinie Dniestru. Pierwszym razem przynieśli ją koloniści rzymscy, których potomkowie mieszkają dotąd w południowej części doliny. W piętnaście wieków później, tym razem z północy, wpływy Zachodu pojawiły się w postaci otoczonyj nową sławą łaciny humanistów. Do XVIII w. łacina pozostawała językiem oficjalnym dawnej Rzeczypospolitej, mową ludzi wolnych, szlachty i klerków. Cała Ukraina czytała wówczas potrosze Cyce-rona i Wirgiliusza, i najlepsza parodia „Eneidy” napisana została po ukraińsku przez Kotlarewskiego.

Autorytet łaciny nie przeżył upadku starej Rzeczypospolitej. Za moich czasów uczono jeszcze łaciny w gimnazjach na Ukrainie, ale był to już język martwy, pozbawiony swej rangi społecznej. Polakom i Żydom, stanowiącym większość uczniów, łacina służyła jeszcze za bilet wstępu do grupy t.zw. inteligencji, która odegrała tak wielką rolę w historii tej części Europy. Dopiero w czasach sowieckich ten ostatni ślad wpływów Zachodu znikł z programów szkolnych.

Miejsce łaciny zajął w w. XVIII francuski. W każdym starym dworze na Ukrainie można było znaleźć szafę, w której tliły się złociste grzbiety ksiąg wieku oświecenia. Nawet w skromnych dworach, póki była tam jeszcze izba nosząca nazwę salonu, była również i księżka francuska. Przez półtora wieku francuski był językiem uniwersalnym Europy wschodniej. W salonach Kiszyniowa Puskhin porozumiewał się po francusku z emi-

grantami z Bałkanów wyzwalaających się właśnie spod panowania tureckiego.

Francuski odgrywał na Ukrainie osobliwą rolę w stosunkach polsko-rosyjskich. Kobiety nie uczyły się wówczas wcale rosyjskiego. W ignorancji tej była częściowo zraniona duma wydziedziczonych i pogarda dla nowych władców kraju. Zresztą Rosjanie, których widywano najczęściej na Ukrainie, urzędnicy i wojskowi, nie należeli do inteligencji rosyjskiej i u niej również znajdowali się w pogardzie. Przypadało im, że oni sami orientowali się nienajgorzej w tych subtelnościach: jeżeli któremu z nich zdarzyło znaleźć się w domu polskim, zaczynali rozmowę po francusku, dając w ten sposób do poznania, że nie są być może barbarzyńcami, za jakich uchodzą. Rozmówcy polscy uważali ten wstęp za uznanie ich prawa do postawiania cudzoziemcami wobec władz rosyjskich, i rozmowa toczyła się już gładko, oscylując między uprzejmością i rezerwą. Język francuski pozwalał obu stronom przedsię się na teren konwenyjnny, w pewnego rodzaju strefę idealną, w której obrębie nawet nieprzejeźdźnymi wrogowie znajdowali przyjemność we wzajemnym świadczeniu sobie uprzejmości.

Język dworu i szlachty, francuski, utrzymał się na Ukrainie mimo upadku Rzeczypospolitej i ruiny szlachty. Francja stała się tymczasem republiką, i język Victora Hugo stał się językiem wolności, językiem kultury patrzącej w przyszłość. Książka francuska znalazła się w rękach wszystkich uczących się z mądrością insty-

szą książką, którą chowałem pod poduszką nie umiejąc jeszcze czytać, była ilustrowana historia rewolucji francuskiej, i mowy Dantona służyły mi do nauki francuskiego. Dopiero po r. 1918, kiedy Francuzi sami zwątpili o wartości demokracji i zaczęli czytać „Action Française” i „Gringoire’a”, mowa ich znikła w ciągu kilku lat z Europy wschodniej i wpływy cofnęły się do linii Maginot.

Wpływ francuskiego miał jeszcze inną ważną podstawę. W końcu ubiegłego stulecia w całej Europie wschodniej sztuka zaczęła odgrywać bardzo doniosłą rolę, francuski zaś był językiem wielkiej sztuki i nowinek literackich. Dziś trudno jest nawet wyobrazić sobie dokładnie, jak wielką rolę w czasach mojej młodości grały czasopisma literackie. W mieście tak mało literackim jak Odesa, widziałem w r. 1910 na własne oczy, jak w Librairie Rousseau dwa razy na miesiąc wtajemniczeni gromadzili się w oczekiwaniu pocztą mającej przynieść ostatni „Mercure de France”. Nie wiem, czy nawet w Paryżu organ symbolistów posiadał kiedykolwiek równie uważnych czytelników.

Nowinki literackie przynikały nawet do dalekich zakątków doliny Dniestru. Miałem może wówczas lat trzynaście, kiedy zaintrygowała mnie w bibliotece ojca pewna książka. Zaniósłem ją śpiesznie do swego pokoju, i wzrok mój padł na następujące wiersze:

O, serres au milieu des forêts,
Et vos portes à jamais closes,
Et tout ce qu'il y a sous vos coupoles,
Et sous mon âme, en vos analogies.

Słowa te wydały mi się bardzo dziwne, i z trwożą myślałem: czyżby tak teraz miano pisać wiersze? Nieco później dopiero dowiedziałem się że tak jednak pisać nie kazano. Był to tom wierszy niejakiego Maurice'a Maeterlincka.

Domy mieszkalne w dolinie Dniestru były tak samo różnorodne jak ich mieszkańcy. Każda grupa ludności wznosiła inne budynki. Już sam ich wygląd zewnętrzny zdradzał narodowość właściciela.

Chaty ukraińskie były drewniane, wylepione z zewnątrz i wewnątrz grubą warstwą gliny, którą kilka razy do roku bielono wapnem zaprawionem lekkim błękitem. Biel chat zdawała się promieniować pośród ciemnej zieleni czereszyńskich sadów i vangohowskiej żółtości słoneczników. Po zerdziach wspiniała się fasola o czerwonych motylkach kwiatów. Jesienią pod strzechami zawieszano długie girlandy błyszczącożyłte kukurydzy.

Skromne mieszkanka były w istocie rzeczy doskonale dostosowane do klimatu. W każdej izbie stał posrodku duży piec, na którym zimą kładziono się do snu. W porze letniej gliniane ściany zachowywały przyjemny chłód. Zielonkawe szyby wtopione w glinę przepuszczaly mało światła, ale bronily od natrętnych owadów.

W dolinie Dniestru wsi skupiały się najczęściej wzdłuż szerokiach dróg, i układ ich był wynikiem nadziału gruntów po

* Z książki zbiorowej „Kraj lat dziecińczych”, która ukaże się niebawem nakładem M. I. Kolina.

Ukazała się

STANISŁAW MACKIEWICZ

HISTORJA POLSKI

(Od 11 listopada 1918 — 17 września 1939)

Stron 350

cena 8/6 (w opr.)

do nabycia:

M. I. KOLIN (Publishers) LTD., 20, Bloomsbury Street, London, W.C.1 i 28, King Edward Street, Perth

uwłaszczeniu włościan w r. 1866. Pochodzenie ich było więc stosunkowo późne.

Stare tradycje budowlane widać było lepiej w osiedlach ludzi wolnych, którym udało się uciec niewoli pańszczyźnianej. Domy ich poznać było można zawsze po ganku opartym na dwu słupach, który nawet u najbiedniejszych rolników był świadectwem przynależności do „ordo equestris” i ostatnim wspomnieniem sławy starej Rzeczypospolitej.

Domy zamożniejszych rolników wyróżniały się zdaleka otaczającymi je drzewami i parkami. W czasach dawnej Rzeczypospolitej całą Ukrainę przebiegało szaleństwo ogrodnicze XVIII w. Ziemi na kresach nie brakło, i parki ciągnęły się daleko i szeroko. Odwieczne kombinacje wzgórz, wód, trawników i starodrzewia ręką mistrzów ozdobiła alejami, szpalarami, kwietnikami, klombami, etalami, kwinkunkami, skałami, kaskadami i fontannami. Parki polskie posiadały niegdyś niemalą sławę, i abbé Delille wymienia je na honorowym miejscu.

Z parków ukraińskich największą sławę miała opiewana przez Trembeckiego Zofjówka. Jak głosi tradycja, Branicki sprzedał Katarzynie II ojczyznę dla zadolenia swej fantazji ogrodniczej. Główny ten park widziałem w okresie upadku. Był on oddawna własnością skarbu rosyjskiego i mieścił rządową szkołę rolniczą. Pomniki utraciły nosy podczas zamieszek w 1905 r. Przed perystylami i świątyniami stały budki wartowników, malowane w ukośne pasy czarno-białoczerwone jak słupy wiorstwie i wrota koszar. Pokrzywy i chwasty porastały skraje gajów. Przed dawną pomarańczarnią ubogi biuralista posadził grządkę malw w złym smaku. A jednak te ruiny ogrodnicze miały jeszcze żywą swą magię wielkości i wdzięku oświeceniowej. Wejście prowadziło przez głęboką dolinę pełną cieni. Na dnie jej leżał długi staw, w którego środku wznosiła się ku górze wysoka, cienka wieża fontanny. Jej spadający przepiórz miał za cel ożywienie na czarnym zwierciadle wód białego odbicia perystylów. Po obu stronach stawu, wzdłuż jego brzoś, stały piętami aż do rozległego, niewidocznego z dołu falowania słonecznych gazonów i kwietników.

Park w Niemirówie był nie mniejszy rozmiarem, ale bardziej spokojny w tonie. Kilkaś innych parków różnej wielkości przeżyło na Ukrainie upadek Rzeczypospolitej i jej szlachty, której obecność znaaczyły wszędzie stare drzewa, trawniki i krzewy ozdobne. Kiedyś w Karpatkach Wschodnich, w odłudnej dolinie o cały dzień drogi od najbliższego osiedla, spotrzegłam zabłąkany wśród krzaków lepszynny jeden z tych krzewów ozdobnych, właściwych parkom początku ubiegłego stulecia. Rozchylając maliny i pnące, znalazłem kilka starych kamieni i cegieł. Nawet w największych pustkowiach osadnikom towarzyszyła zawsze namietność ogrodnicza starej Rzeczypospolitej.

W XVIII w. zaczęto na Ukrainie sadzić drzewa wzdłuż dróg. Sadzono dęby, kasztany, lipy, świerki, wiąz, jesiony, topole, brzozy, czereśnie i jarzębiny. W czasach mojej młodości aleje te ciągnęły się dziesiątkami mil poprzez równiny, wzgórza, łąki, siołowa, mosty i brody. Jesienią cienie biegły w deszczu złotych liści, owiane głębokim szumem wiatru w prastarych drzewach.

W parkach doliny Dniestru, na długo przed powstaniem archeologii wiejskiej i szkoły z Dijon, nauczyłem się studiować brzozy lasów, układy starych drzew, naturę trawników i okolice źródeł. Dla patrzącego uważnie parki te podobne były do palimpsestów, w których — przed eleganckim piśmem XVIII w. — przewijał tekst nierównie starszy, będący sam tylko echem poprzednich tysiącleci. Szaleństwo ogrodnicze wieku oświeceniowego zostało tam zaszczepione na zjawisku znacznie dawniejszym, na niewygasłym jeszcze poganińskim kulcie drzew, w którym mieszały się dawne tradycje klasyczne i słowiańskie. W zasięgu byłego Imperjum Rzymskiego dęby Dodony i gaje Apollina padły pod siekierą rygorystów chrześcijańskich. Ślady starych tradycji widzimy jeszcze w drzewach Salvatora Rosy i Ruysdaela, ale ciągłości brak.

Inaczej u ludów rolniczych i pasterskich, trwających nadal w gospodarce zamkniętej, w której brak wymiany i wszystkie przedmioty użytku i narzędzia pracy wytwarzane są na miejscu. Nadmiar zdolności produkcyjnych lokuje się tam w dobrach niewymiennych, w pięknych budynkach, w ozdobnych haftach i wreszcie w utrzymaniu drzew i trawników. Niejedną skromną chatę otaczają tam olbrzymie dęby i trawniki, przedmiot starą wietu pokoleń, tak smaragdowe i miękkie jak w najświeższych rezydencjach książęcych. Nawet rośliny uprawne tworzą grupy dekoracyjne nieoczekiwanej i rzadkiej piękności. Wiele parków ukraińskich posiadało wyraźnie dwa nawarstwienia: jedno z czasów J. J. Russa i ks. Delille'a, drugie będące resztką prastarej cywilizacji rolniczej.

Przywycieczony do tych parków glebinowych o podwójnym dnie, byłem potem nieco zawiedziony przez sławne parki

Zachodu. Nie mam tu na myśli jedynie parków w rodzaju willi Pallavicinich pod Genuą, których zły smak bawi w końcu swą groteskową pomyslowością. Sam nawet park wersalski wydał mi się pusty, służący tylko za ramę fantazji architektonicznej pałacu.

Zresztą parki ukraińskie istnieją dziś być może już tylko w moich wspomnieniach i niedługo znikną nawet z obrębu pamięci, jak pochłonięta przez morze Atlantydy.

Wojny zostawiły niemal ruin na Ukrainie. Artyleria poszczerbiła zamki, których resztki widać było gdzieś w górze, do ruin starych przybyły nowe, już nie wskutek działania artylerii, lecz wskutek zubożenia ich szlachetnych właścicieli. Najpiękniejsze budynki XVII i XVIII w. spoczywały w ruinach.

W dolinie średniego Dniestru najbardziej imponująca ruina był stojący na tureckim brzegu Chocim. Kolistą masą muru wznosiła się na skalistym wzgórzu nad rzeką. W podwórzu, oparty na wieży, stał pałac zbudowany przez Genuńczyków, podówczas szprymierzeńców Wysockiej Porty.

Na sąsiednim wzgórzu stał posród cmentarza wysmukły minaret. Islam cofnął się już dość dawno z tych okolic, ale wspomnienia jego były jeszcze żywe. Rynek chocimski zachował nie tylko

nazwę bazaru, ale i wygląd targu wschodniego. Był to istny labirynt ażurowych konstrukcji drewnianych o płaskim dachu. W dzień targowy towary leżały w słońcu na szerokich wystawach z desek, pozwalających jednym rzutem oka objąć całą zawartość sklepu. W razie alarmu kupcy mogli w mgnieniu oka zwinąć swe dobytki i zniknąć w zarosłach. Długie wieki rabunków przez wygodniałe wojska i fantazyjnych egzakcyj potentatów wytworzyły typ handlu, w którym nawet zamożni kupcy zachowują zawsze wygląd wędrownych handlarzy, gotowych zniknąć jak kamfora na umówiony gwizdek. Fantazyjna reglamentacja handlu wywołała dziś znów pojawienie się tego typu handlu w wielu krajach Europy wschodniej.

Na przeciwległym brzegu Dniestru stały ruiny Złęcz, skąd niegdyś garnizon polski śledził poruszenia Turczyzna. W końcu XVIII w. mój pradziad był ostatnim bodaj komendantem tego posterunku. Stosownie do zwyczajów tego uprzejmego wieku, przedziad mój i turecki pasza z Chocimia wymieniali na piśmie komplementy, którym towarzyszyły drobne upominki. Dziad mój miał jeszcze kieszkę z czerwonego jedwabiu, pochodzącą z tej wymiany grzesności. Wewnątrz jej znajdował się pozłoty list, pokryty drobnym piśmem tamtych czasów.

Zamki i pałace ukraińskie, jakkolwiek liczne, były jednak zawsze świadectwem wpływu obcych, zachodnich lub śródziemnomorskich. Ideą przewodnią zamków warownych jest grupowanie wszystkich zabudowań w jednym objęciu lub nawet pod jednym dachem w celu skrócenia linii obronnej. W krajach o tradycyjnych wojowniczych nawet zagrody chłopiejskie posłuszne są tej myśli. Widzimy w nich obzorne budynki, gdzie pod jednym dachem znajduje się mieszkanie gospodarza, stajnia, obora, owczarnia, chlew, kurnik, stodoła, wozownia, śpiżarnia i wszystko inne. Zamknąwszy wrota, gospodarz, na czele swej rodziny i ludu czworonogiego, czuje się jak kapitan okrętu lub komendant cytadeli.

Mimo wojen i wpływów ludów wojowniczych, mieszkańcy Ukrainy zachowali w swych budynkach tradycje pokojowe ludów rolniczych i pasterskich. Stosownie do wielkości gospodarstwa, zabudowania rozciągały się na wielkiej przestrzeni. Rozrzuć ich nie był jednak dziełem przypadku, ale posiadał reguły datujące z niepamiętnej dawności.

Buildynki mieszkalne tworzyły kolo lub

owal zatoczony dokoła trawnika. W jego środku wznosił się często stary dąb lub lipa, świadek dawności tego porządku miejsc. Budynek mieszkalny znajdował się z reguły naprzeciw stajni dla koni cugowych i wierzchowych. Niekiedy obok starego domu wznoszono nowy. Stary służył wówczas dla gości i rezydentów. Kuchnia mieściła się zawsze w osobnym budynku odległym zazwyczaj o dwa-dziesiąt kroków od dworu. Dystans ten miał zabezpieczać latem dom mieszkalny od much. Niedaleko od kuchni wznosił się inny budynek noszący nazwę piekarni. Obok niej znajdowały się zazwyczaj mieszkania służby. Osobne budynki, stojące wzdłuż obrębu koła, mieściły lodownię i śpiżarnię. W gospodarstwie mego dziada wieniec ten uzupełniała jeszcze piarnia i budynek zwany słusnie lamusem, którego dzwina zawartość budziła zawsze moją ciekawość. W wielkich kufrach chowano tam m. in. garderobę osobistą naszych przodków: suknie jedwabne w drobne kwiaty i barwne fraki z początku ubiegłego stulecia, wszystkie dla mnie o wiele za małe.

Budynki gospodarskie tworzyły inne kolo, przyległe do pierwszego. Stały tam stajnie, obory, chlewy, kurniki, stodoły, śpiżarnie, gorzelnie, stelmaznie, ślusarnie. Każda czynność gospodarska posiadała osobny budynek.

W układzie tym zastawiana jego forma kolistą. Dopiero poszczególne używanie pluga nadało polom formy czworokątne. Formy kolisty pochodzą z czasów, kiedy miejsca pod zabudowania nie zabierano polom, ale stepom i puszczo.

Niezmierną rozmaitość i mnogość budynków pochodzi również z czasów dawnych, kiedy gospodarstwo rolne tworzyło całość zamkniętą. W czasach tych, jak dotąd u Kurpiów i Huculów, nie sprzedawano i nie kupowano nic prawie, wyrabiano wszystko na miejscu. Stąd różnorodność zajęć i poświęceń im zabudowań. Wzrost zdolności wytwórczej prowadził do różniczkowania się prac. Jedne zajęcia pociągały za sobą drugie. Wznoszenie coraz to nowych budynków uruchomiło cegielnię. Budynki już wzniesione należało konserwować, naprawiać, przerabiać. Stąd warsztat ciesielsko-stolarski pracujący przez cały rok. Utrzymywanie narzędzi rolniczych powołało do życia kuźnię i ślusarnię. W majątku mego dziada przez cały dzień słychać było uderzenia młota, któremu kowadło odpowiadało tonem jasnym, wysokim, niezbyt

Ukazała się

STANISŁAW BALIŃSKI

WIELKA PODRÓŻ

cena 4/6 (w opr.)

do nabycia:

M. I. Kolin, (Publishers), 20, Bloomsbury Street, London, W.C.1 i 28, King Edward Street, Perth

czystym, w okolicy trzeciej oktawy wioliny. Pod czarnym od dymu pulapem wisiał olbrzymi miech, na który musiano zapewne zedrzeć skórę z największego byka. Prócz tego w majątku dziada działała jeszcze huta szklana, zaopatrująca gospodarstwo w butelki, dzieło starego Francuza imieniem Cambarot, niegdyś jeńca z wojny krymskiej, który nie chciał wracać do rodzinnego Bordeaux.

W tych złotych czasach rolnictwa, których pamiętam okres schyłkowy, nie znano jeszcze ascetycznej postawy związanej z książeczką oszczędnościową i dobrowolnym powstrzymaniem się od wydatków aż do dewaluacji naszych oszczędności przez niedoładność do ich użycia lub perjuryczny spadek wartości pieniądza i papierów. Dawni rolnicy tej pokornej postawy nie znali. Na starość lub w razie katastrof majątkowych zachowywali pogodę ludzi, którzy przeżyli swe życie, mieli swój udział w jego trudach i dostatkach i mogli bez zawisnąć patrzeć na majątek i powodzenie innych.

W porównaniu z gospodarstwem mego dziada, rolnictwo nowożytne wydaje się bardzo ubogie. Rolnicy dzisiejsi nabyli przypominając robotników przemysłowych, przywiązanych do pracy niewdzięcznej i monotonnej. Trudno zwińść się, że rolnictwo uważane jest coraz częściej za dziedzinę pracy z natury swej mało obiecującą, wymagającą subwencji państwo-

wych lub przeznaczoną dla ras niższych, contentujących się byle czem.

W naszych pojęciach tradycyjnych zachowała się pamięć „mądrości starożytnych”. Treść tego pojęcia stała się niepewna, i nie umiemy go związać z żadnym ze znanych sposobów bycia. I ja również nie znalazłem już nikogo, czyje życie odpowiadałoby ściśle temu pojęciu. Zdaje mi się jednak, że życie dawnych rolników, nie odpowiadając być może też dokładnie „mądrości starożytnych”, dało mi pewne pojęcie o jej wymaganiach, i że wspomnienia te musiały odegrać niemałą rolę we wszystkich moich przygodach późniejszych. Nie uchylałem się wprawdzie od udziału w pustych szaleństwach moich czasów, zawsze jednak zachowywałem świadomość tego co dzieliło je od mądrości pasterskiej dawnej Arkadii.

Dom mego dziada, Huberta Stempowskiego, był jeszcze pełen przeszłości, mocno związany z pokoleniami poprzednimi. W jego pokoju, nad kanapą, na której wygodnie się ulubiony wyżeł, wisiała cała kolekcja karabel, papierów i fioletów. Na wyszczerzonych klingach dziad miał jeszcze odczytać ślady różnych pamiętnych spotkań zbrojnych. W kącie stała etażerka z baterią cybuchów, pochodzących ze stosunków moich przodków z Turkami.

Na ścianie wisiał portret mego pradziada Stanisława, w zielonym kontuszku, i portret jego brata Leona, zmarłego w Paryżu na emigracji. Na cmentarzu Montmartre widziałem potem jego grób ze znów aktualnym napisem: „Exoriar aliquid ex nostris ossibus ultor”. Nawet zmarły, Leon Stempowski wydawał się tak niebezpieczny potęgą tego świata, że w czasach sojuszu rosyjsko-francuskiego policja paryska nie pozwalała fotografować jego grobu.

Obok znajdowała się sypialnia dziada, nosząca już bardziej indywidualne piętno jego osobistości. Stały w niej surowe stoły i stółki z drzewa orzechowego i znajdował się cały arsenał myśliwski. Na ścianie wisiały dwururki różnych typów, pamiętające nieraz czasy mikolajowski, torby borsucze, rogi i trąby myśliwskie. Podczas wakacji, od siódmego roku życia musiałem towarzyszyć dziadowi na polowaniu. Zimą trzeba było wstawać przed świtem, pośród głośnych trąb i szczekania ogarów. Na śniegu dziad udrzył mnie odczytywać ślady zwierząt i odzwiercał sceny dramatów leśnych. Polowanie było wówczas głęboką i zawziętą wiedzą, opartą na dokładnej znajomości życia i obyczajów lasu, i niewiele przypominało polowanie z nagonką, uprawiane potem przez wyższe sfery towarzyskie i podobniejsze do amatorskiego szlachtuza. Zresztą zwierząt było mi żal, i w miarę możliwości starałem się je wypuszczać z obstrzału, znosząc z pokorą opinię kiegońskiego strzelca i ciemięzi.

Dziadówi zawdzięczam również pierwsze lekcje jazdy konnej. Służył do nich dobroliwy koń o grzbiecie niezwyklej szerokości, na który musiałem być pomocy strzeżon dostawać się własnym docięciem. Przy pierwszych krokach klusa spadała z reguły na ziemię. Koń zatrzymywał się i schylał głowę, by obejrzeć nieśmięmi krótkowzroczności i mrużącymi oczami. Nauka jednak nie poszła w las, i wkrótce zostałem dobrym jeźdźcem, nie obawiającym się koni młodych i narowitych.

Dziad mój ukończył uniwersytet kijowski za panowania Mikołaja I i zachował żywo w pamięci te surowe czasy, kiedy w wojsku służono 25 lat i za każdym pułkiem wieszono wozy pełne kijów do wymierzenia kar cielesnych. Opowiadał mi się chłuchem z trwożą i niedowierzaniem, nie wiedząc, że za moich czasów ludzkość powróciła raz jeszcze do kar cielesnych i władzy absolutnej i że bogaci ludzie w swych salach będą rozmawiali o tem jako o rzeczach niezbyt i pożądanych.

Pod koniec życia dziad mój zaczął interesować się sadownictwem. W majątku jego w trzech miejscach powstały nowe sady, i w każdym z nich wzniesiony został niewielki dom mieszkalny. Domy te stały narazie niezamieszkałe. Nie znalazłem zamiarów mego dziada, ale dziś, przypominając sobie ten szczegół, mam wrażenie że w myśli jego powstał obraz kolonii, mogącej dać schronienie jego wnukom w razie gdyby mieli doznać niepowodzeń szukając szczęścia poza rolnictwem. Dziad mój, wychowany w czasach mikolajowskich, pamiętał smutny los inteligencji tego okresu. Zawody wolne wydawały mu się karjerą niepewną, wymagającą giętkości charakteru, kompromisów z sumieniem i w rezultacie pozbawione niezależności, jaką dawało życie na wsi. Moje pokolenie zapewniło sobie naturalny rozwój gospodarczy terenu śląskiego.

Ścisłe rozważania gospodarcze uzupełniały niejako argumenty historyczne i etnograficzne, które przesyłają łącznie Górnego Śląska z Polską. Błędy popełnione na tym odcinku w r. 1921, krzywdą wyrządzoną państwu polskiemu i ludowi śląskiemu, powinny być naprawione w momencie, kiedy zwycięska Anglia i jej sprzymierzeni przystąpią do ustalania nowego porządku w Europie, porządku opartego na sprawiedliwości, poszanowaniu prawa i współpracy wszystkich wolnych narodów Europy.

STANISŁAW KRZYSZTOF.

JERZY STEMPOWSKI.

STANISŁAW KRZYSZTOF

WALKA O GÓRNY ŚLĄSK

Do 20 marca 1921 r. odbył się na Górnym Śląsku plebiscyt. Pierwotny projekt traktatu pokojowego z maja 1919 r. przewidywał — zgodnie z postulatami polskiej delegacji — głoszenie referendum. Po obu stronach granicy, w Górnym Śląsku i w Niemczech, w dniach 20 i 21 marca 1921 r. odbył się plebiscyt. W Górnym Śląsku głosowali za Niemcami 469 376 osób (47,3%), za Niemcami 524 450. Jeśli od cyfr te potrącić głosy powiatów głupczyckiego i prudnickiego, na pozostałym terenie ilość głosów polskich wynosiła 464 720 (50,2%) w stosunku do 460 782 głosów niemieckich. Jeśli uwzględnimy, że miasta na Górnym Śląsku, będące od setek lat przedmiotem szczególnych skutecznyczych zabiegów germanizacyjnych, głosowały przeważnie za Niemcami oraz że ogólna atmosfera nie pozwoliła dużej części ludności swobodnie ujawnić swej sympatii dla Polski, stwierdzamy, że w tych warunkach plebiscyt, którego komisarzem ze strony Polski był niustrasny bojownik o polską część ziem, Wojciech Korfański, wykazał w całej pełni polski charakter Górnego Śląska i wole jego ludu przynależenia do Rzeczypospolitej.

Na ogólną ilość 1424 gmin, 682 głosowało za Polską, reszta za Niemcami. Ponieważ plebiscyt miał być tylko jednym z elementów decyzji o przyszłych losach tej ziemi oraz ponieważ rozgraniczenie terenu nastąpiło między gminami zależnie od tego, jak głosowały poszczególne gminy, Polska — dając dowód daleko posuniętej powściągliwości — zakreśliła obszar objęty t.zw. „linią Korfańskiego”, biegnącą wzdłuż Odry do powiatu polskiego, a następnie w kierunku północno-wschodnim w stronę granicy Polski (pozostawiając Olesno po stronie niemieckiej), domagając się natychmiastowego przyłączenia obszaru tego do Polski. Na tym obszarze, na ogólną ilość 903 gmin, 678 (74,5%) głosowało za Polską, 435 260 osób głosowało za Polską, 409 618 za Niemcami.

Mimo tak skromnie sformułowanych żądań, próbowano początkowo przyznać Polsce zaledwie powiaty rybnicki, pszczyński i mały skrawek powiatu katowickiego. Wiśnię o krzywdzącej decyzji wywołała protest ludu śląskiego, który dn. 2 maja 1921 r. chwycił za broń i w ciągu kilku dni zajął cały niemal obszar, zakreślony linią Korfańskiego. Dopiero przybycie na Śląsk regularnych oddziałów armii niemieckiej pociągnęło za sobą zawieszenie działań wojennych trzeciego powstania śląskiego. Wpływ jego na dalsze losy Śląska był decydujący. Pierwotną decyzję zmieniono, przyznano Polsce więcej, aniżeli pierwotnie projektowano, ale liczone powiaty, które bądź w plebiscytech bądź też przy spisie ludności 1910 r. wykazywały dużą większość polską, pozostawiono przy Niemczech. Z 1 077 334 ha obszaru plebiscytowego przypadło Polsce zaledwie 321 433 ha, Niemcom — 755 433 ha. Na ogólną ilość 1 942 186 mieszkańców, mieszkało 891 669 na terenie przyznany Polsce, 1 050 517 — Niemcom. Nowa linia graniczna rozdzielała jednolity obszar przemysłowy, przerywając linie komunikacyjne i odcinała ludzi od ich warsztatów pracy. Przedwzrostkiem jednak pozostała po stronie niemieckiej prawie że 800 000 ludu polskiego od wieków tam zamieszkałego, który głosował za Polską a przynależenia do Rzeczypospolitej się wówczas nie doczekał.

Nie tylko przeszłość historyczna i stosunki etnograficzne przesyłają łącznie Górnego Śląska z Polską. Powinnością ziemi tej z Polską uwydatnia się także na odcinku gospodarczym. Polska jest naturalnym zapleczem górnośląskiego obszaru gospodarczego. Głównym produktem przemysłu śląskiego jest węgiel, którego roczna produkcja przed wojną światową wynosiła 43 1/2 miliona ton, co stanowiło 23% ogólnej produkcji węgla w przedwojennej Polsce Niemieckiej (1913). Naskutek podziału Śląska, na

468 kopalni, 53 przypadły Polsce. W r. 1938 na ogólną produkcję węgla w Polsce w ilości 38,1 miliona ton, 28,1 miliona, czyli 74%, przypadła na zagłębie górnośląskie. Widzimy, że zagłębie górnośląskie było drugą w wielkości produkcją węgla w Polsce. Przez przemysł węglowy rozwinęły się na Górnym Śląsku na wielką skalę przemysł hutniczy. Produkcja surowki żelaznej wynosiła na Śląsku w r. 1913 około 1 miliona ton, co stanowiło zaledwie 5,9% ogólnej produkcji żelaza w Niemczech. W r. 1871 procent produkcji śląskiej w stosunku do ogólnoniemieckiej wynosił 14,8, w r. 1901 — jeszcze 8,1, a bezpośrednio przed wojną światową spadł do 5,9. Fakt ten wymownie ilustruje twierdzenie, że główny ośrodek niemieckiego przemysłu żelaznego nie był na Śląsku lecz w zagłębiu Rubry. W Polsce główna produkcja żelaza skupiała się na terenie Górnego Śląska. Bez śląskiego ośrodka hutniczego przemysł polski nie osiągnąłby nawet tych skąpych rozmiarów, jakie posiadał w ostatnich latach.

Cofanie się produkcji śląskiej w stosunku do ogólnoniemieckiej i drugorzędność, a nawet konkurencyjny charakter zagłębia śląskiego dla głównych baz przemysłowych Niemiec nie jest dziełem przypadku lub świadomego zaniebywania tego przemysłu przez kierownictwo niemieckie. Fakt ten wynika raczej z geograficzno-komunikacyjnego położenia Górnego Śląska (które jest niedogodne, zbyt oddalone w porównaniu z Westfalją), oraz spodwody odcięcia Śląska od naturalnego zaplecza, jakie stanowią ziemie polskie.

Węgiel górnośląski był za czasów niemieckich zaledwie w 28% konsumowany na rynku niemieckim. Przeszło 45%, już wówczas przed wojną, znajdowało zbyt (mimo gwałtowności na ziemiach polskich, zarówno tych, które należały do Rzeczy, jak i na tych, które były częścią Rosji albo Austrii). To że tylko skromną ilość węgla górnośląskiego sprzedawano w środkowych Niemczech, było wynikiem dużych odległości transportowych, które powodowały że węgiel śląski już w Berlinie (nie mówiąc o dalszych obszarach Niemiec, zwłaszcza przemysłowych) był znacznie droższy aniżeli węgiel westfalski.

Drzewo kopalniane, tak niezbędne dla odbudowy górniczej, sprowadzane było w ca 85% z ziem polskich wszystkich trzech zaborów, a zaledwie 6% dostarczały środkowe ziemie niemieckie.

Ruda żelazna, położona była w powiatach, bezpośrednio graniczących z Górnym Śląskiem, na terenie zachodniej Kongresówki. Wysokie cla rosyjskie uniemożliwiały lub co najmniej utrudniały wwoz tej rudy. Cena jednej tony rudy żelaznej, pochodzącej z Królestwa, kosztowała na Górnym Śląsku przed wojną światową 20 mk. kiedy np. ruda lotaryńska kosztowała w Westfalji zaledwie 11 mk. To okoliczności były decydującymi czynnikami, hamującymi rozwój Śląska. Naturalnym zapleczem Górnego Śląska była i jest Polska. Twierdzenie to opieramy nie tylko na cyfrach powyższych, ale również na autorytatywnych twierdzeniach najbardziej kompetentnych czynników niemieckich.

Niemiecka Izba Handlowa w Opolu i Niemiecki Związek Górniczo-Hutniczy w Katowicach składały w czasie poprzedniej wojny kancelarii Rzeczy Bethmann-Hollwegowi szereg memoriałów poufnych, w których dowodziły, że niezbędnym i jedynym „Hinterland” em Śląska jest Polska. Od przyłączenia Kongresówki lub co najmniej jej zachodnich powiatów do Niemiec zależy rozwój przemysłu górnośląskiego. W jednym z tych memoriałów czytamy: „Przy niedogodnym położeniu górnośląskiego obwodu przemysłowego, Polska pozostanie dla jego rozwoju gospodarczego w przyszłości

nadzwyczaj ważnym, a nawet można powiedzieć niezastąpionym czynnikiem”. Wskutek podziału Górnego Śląska w r. 1922, tylko część jego naturalnego zaplecza została przyznana Polsce.

Kopalnie i huty, które pozostały po stronie niemieckiej, walczyły w dalszym ciągu z temi samymi, jeśli nie większymi trudnościami, co przed wojną światową. Niemieckie organizacje gospodarcze tego terenu zaspływały centralne władze w Berlinie memoriałami i petycjami o opiekę, pomoc, kredyty, taryfy ulgowe, przywileje wywozowe i t.p. Rząd niemiecki nie skąpił swej pomocy niemieckiemu Śląskowi, a mimo to przemysł żelazny w okresie nawet najlepszej koniunktury w r. 1929 nie osiągnął rozmiarów produkcji przedwojennej. Wysokie piece po niemieckiej stronie wygasły w r. 1932. Wprawdzie później nastąpiło ożywienie w produkcji kopań, hut i fabryk, były to jednak już lata rządów hitlerowskich, okres silnych zbrojeń. Tego rodzaju krótkofalowa koniunktura zbrojeniowa nie ma jednak nic wspólnego z normalnym rozwojem gospodarczym.

Dla Niemiec, tak silnie uprzemysłowionych, przemysł górnośląski położony na peryferji, w odległości przeszło 500 km od Berlina, a znacznie dalej od głównych ośrodków przemysłu niemieckiego, będzie zawsze terenem drugorzędny, czynnikami raczej konkurencyjny. Dla Polski przemysł górnośląski, w całej swej rozciągłości, stanowił będzie zawsze podstawową bazę rozwojową. Jakkolwiek w ciągu minionego dwudziestolecia poważnie rozszerzono sieć komunikacyjną Śląska z morzem i środkowymi ziemiami polskimi, zawsze jeszcze pozostaje duże pole do inicjatyw, zwłaszcza na odcinku dróg wodnych, które kolosalnie wzmoże mogą konsumację węgla i innych produktów Śląska w całym państwie, a szczególnie na wschodnich jego obszarach. Przyszła Polska musi zwiększyć swój potencjał przemysłowy. Wówczas powstanie dla przemysłu śląskiego koniunktura, której nigdy doczekać się nie może w granicach nadmiernie uprzemysłowionych Niemiec.

Także obecnie po opanowaniu przez Niemców całego zagłębia przemysłowego od Karwiny po Olkusz i Kraków, po poddaniu go jednolitemu kierownictwu politycznemu i gospodarczemu przez utworzenie prowincji górnośląskiej — a szczególnie regencji katowickiej (do której należą obok Katowic i Chorzowa, Bytom, Zabrze i Gliwice, Dąbrowa, Chrzanów i Jaworzno, Cieszyń, Trzyńcie i Karwina) — wylaniają się te same kłopoty co dawniej. Już teraz rząd niemiecki musi temu terenowi przyznać specjalne „Steuersthilfe”, „Reichswirtschaftshilfe” i uruchamiać specjalne kredyty. Niejaki Koch maluje na lamach „Katowitzer Zeitung” z dn. 31 grudnia ubr. w artykule p.t. „Bewahrung der kriegsverlittenen Wirtschaft” wspaniałe perspektywy rozwoju przemysłu Śląska w przyszłości, ale dlatego że „uregulowana Wisła i rozbudowa na wschodzie dróg wodnych” umożliwi konsumację na niespotykaną dotychczas skalę wytworów tego przemysłu. A więc i teraz Niemcy stwierdzają, że tylko ziemie polskie zapewnią sobie naturalny rozwój gospodarczy terenu śląskiego.

Ścisłe rozważania gospodarcze uzupełniają niejako argumenty historyczne i etnograficzne, które przesyłają łącznie Górnego Śląska z Polską. Błędy popełnione na tym odcinku w r. 1921, krzywdą wyrządzoną państwu polskiemu i ludowi śląskiemu, powinny być naprawione w momencie, kiedy zwycięska Anglia i jej sprzymierzeni przystąpią do ustalania nowego porządku w Europie, porządku opartego na sprawiedliwości, poszanowaniu prawa i współpracy wszystkich wolnych narodów Europy.

Dziad mój zmarł w r. 1913. Każdy, kto potem był świadkiem upadku zawodów wstających w Europie wschodniej i ich ostatecznego poddania państwu autorytatywnemu, będzie musiał przyznać, że dziad mój widział znacznie dalej niż większość jego współczesnych.

Mimo to ścisła analiza wyników głosowania potwierdza niewątpliwie polski cha-

MARJA KUNCEWICZOWA

PORANEK W KOMEDJI FRANCUSKIEJ

NIEZAUWAŻONE DWUDZIESTOLECIE

Kiedy pierwszy raz przyjechałam do Paryża, miałam lat kilkanaście, wysiadłam na Gare du Nord...

Kilka skulonych postaci przestępowało z nogi na nogę, chuchając w nastawione kolnierze...

Było to na krótko przed wojną światową, przyjechalśmy z rosyjskimi paszportami...

Nareszcie życia zniecierpliwiona karakułowa czapa. Ale po kilku pierwszych dniach ciężkiej pracy oczyszczania Sekwany...

Kiedy pod koniec października 1939 r. przyjechałam do Paryża, miałam tam znajome postacie...

Zatrzymaliśmy taksówkę koło Odeonu w wąskiej uliczce Racine, czarnooka Simone wybiegła za oszklonych drzwi hoteliku...

— Comme ça se voit qu'elle vient de Russie, cette pelisse! — powiedziała z uznaniem.

Tak oto dwudziestolecie niepodległości Polski, owoc trojga powstań, dwukrotnych kampanii legionowych...

Oczywiście, w następnych dniach się okazało, że Simone zna nazwiska Pilsudski, Ritz-Smigli, Paderewski...

PYTANIA

W niezmiernie piękności trwał także park Luksemburski, trwały Tuilerie, trwał wielki Łuk stojący pośród Gwiazdy...

Paryz, przyjaciel wczorajszego, patron każdej prywatnej biedy, podawalnemu ugościł, oszołomił, ukoił.

Sam na sam z miastem nie mogło jednak długo pozostać bezkarne, z Paryża zaczęły wyciągać się znajomi, z Francuzów — sprzymierzeni.

Organizacja literacka urządziła przyjęcie dla polskich koleżanek. Znakomity pisarz o sławie międzynarodowej przemawiał serdecznie...

Przyśli spowodu Polski. Dlatego że w repertuarze dziejów i pojęć, który uznali za najdogodniejszy dla Europejczyka...

Z namaszczonemi, pełnemi satysfakcji twarzami zajmowali fotele, klaniał się znajomym, uwolnieni wreszcie od zenującej narażności...

Tak w oficjalnej części. Przy herbacie temat się uprzystępnił. Odwrotnie niż w Bukareszcie, nie czekano zwierzeń, zasypano nas pytaniami.

— Co to znaczy? Jak to się mogło stać? Wszyscy czuli prawo do pytań.

— Wio, wio, Rosjanie, wio, wio, karakułowa czapa. Zaraz widać że to futuro jest z Rosji.

liśmy fakty... W miarę jak ożywała się rozmowa, cudzoziemcy zaczęli pytać o coraz drażliwsze sprawy...

Dzisiaj jeszcze nikt nie potrafi nazwać właściwym słowem sił, zasług i okoliczności, z których kiedyś powstanie trybunał...

Dlatego państwo polskie upadło w siedemnaście dni, oddając znów odwiecznym wrogom trzdziesiętomiljonowy naród...

Przy fortaniej stary Cortot z medaljonym profilem. Chopin. Preludium deszczowe... Pierwsze nuty spadły nudno...

Przy fortaniej stary Cortot z medaljonym profilem. Chopin. Preludium deszczowe... Pierwsze nuty spadły nudno...

Przy fortaniej stary Cortot z medaljonym profilem. Chopin. Preludium deszczowe... Pierwsze nuty spadły nudno...

Przy fortaniej stary Cortot z medaljonym profilem. Chopin. Preludium deszczowe... Pierwsze nuty spadły nudno...

PORANEK W KOMEDJI

Na którąś niedzielię listopada zapowiedziano poranek w Komedji Francuskiej poświęcony Polsce.

Przyszedł dość wcześnie, mijając omdlewającego Musseta. W przedślonku było już tłumnie, publiczność doborowa.

— Legie starsze panie — gipiurowy kolnierz na aksamitnym staniku, złoty łańcuch, na nim zegarek z brylantem...

— Dzieki czemu? Dzieki Polsce. Chudziutki syn panny Krzyżanowskiej, czarnooki Frycio...

— Ale francuzi płakali Polacy? Ich jesienią — podległe i niepodległe — nigdy nie przestawały być godne.

— Wstępnie Cortot odegrał fragment Wyspiańskiego, scenę między Korą a Demeter.

— Jakże niedawno śliczna Kora zstępowała w Teatrze Polskim ze scenicznych schodów, Demeter w krepie odziana zagrażdzała jej drogę...

— Pan w tabaczkowym ubraniu uspokoił publiczność ruchem dłoni. Po retorycznej pauzie czytał dalej:

— „Dn. 25 września powierzono mi ważną misję. Jutro o świcie mam wylecieć z Warszawy, by udać się nad granicę rumuńską...

— W listopadzie 1939 r. opustoszał napół czwartowane koni padłych na bruku, ruchy wojsk po prawym brzegu Wisły...

— Nie oszukała ich Demeter — bogini dojrzałości. Kora — jej niesforna córka, zakochana w mroku, zstąpiła, zstąpiła w podziemie!

— Nie raził ich już w łożu polski ambasador, skoro ptak, widniejący tam na szkarłatnej tarczy, był znów odmianną pelikana...

— Nie raził ich już w łożu polski ambasador, skoro ptak, widniejący tam na szkarłatnej tarczy, był znów odmianną pelikana...

— Nie raził ich już w łożu polski ambasador, skoro ptak, widniejący tam na szkarłatnej tarczy, był znów odmianną pelikana...

spalony Okólnik, Szymfana aresztowała „Gestapo“, o Węgierze słuch zaginął.

— W przygodnie skleconych dekoracjach, w baletowych tunikach Kora i Demeter zaczęły mówić Wyspiańskiego po francusku.

— W przygodnie skleconych dekoracjach, w baletowych tunikach Kora i Demeter zaczęły mówić Wyspiańskiego po francusku.

— W przygodnie skleconych dekoracjach, w baletowych tunikach Kora i Demeter zaczęły mówić Wyspiańskiego po francusku.

— W przygodnie skleconych dekoracjach, w baletowych tunikach Kora i Demeter zaczęły mówić Wyspiańskiego po francusku.

— W przygodnie skleconych dekoracjach, w baletowych tunikach Kora i Demeter zaczęły mówić Wyspiańskiego po francusku.

— W przygodnie skleconych dekoracjach, w baletowych tunikach Kora i Demeter zaczęły mówić Wyspiańskiego po francusku.

— W przygodnie skleconych dekoracjach, w baletowych tunikach Kora i Demeter zaczęły mówić Wyspiańskiego po francusku.

— W przygodnie skleconych dekoracjach, w baletowych tunikach Kora i Demeter zaczęły mówić Wyspiańskiego po francusku.

— W przygodnie skleconych dekoracjach, w baletowych tunikach Kora i Demeter zaczęły mówić Wyspiańskiego po francusku.

— W przygodnie skleconych dekoracjach, w baletowych tunikach Kora i Demeter zaczęły mówić Wyspiańskiego po francusku.

— W przygodnie skleconych dekoracjach, w baletowych tunikach Kora i Demeter zaczęły mówić Wyspiańskiego po francusku.

— W przygodnie skleconych dekoracjach, w baletowych tunikach Kora i Demeter zaczęły mówić Wyspiańskiego po francusku.

— W przygodnie skleconych dekoracjach, w baletowych tunikach Kora i Demeter zaczęły mówić Wyspiańskiego po francusku.

— W przygodnie skleconych dekoracjach, w baletowych tunikach Kora i Demeter zaczęły mówić Wyspiańskiego po francusku.

— W przygodnie skleconych dekoracjach, w baletowych tunikach Kora i Demeter zaczęły mówić Wyspiańskiego po francusku.

— W przygodnie skleconych dekoracjach, w baletowych tunikach Kora i Demeter zaczęły mówić Wyspiańskiego po francusku.

— W przygodnie skleconych dekoracjach, w baletowych tunikach Kora i Demeter zaczęły mówić Wyspiańskiego po francusku.

— W przygodnie skleconych dekoracjach, w baletowych tunikach Kora i Demeter zaczęły mówić Wyspiańskiego po francusku.

— W przygodnie skleconych dekoracjach, w baletowych tunikach Kora i Demeter zaczęły mówić Wyspiańskiego po francusku.

— W przygodnie skleconych dekoracjach, w baletowych tunikach Kora i Demeter zaczęły mówić Wyspiańskiego po francusku.

— W przygodnie skleconych dekoracjach, w baletowych tunikach Kora i Demeter zaczęły mówić Wyspiańskiego po francusku.

Aktor skończył. Z kartkami wzniesionymi wysoko, jak z testamentem króla, stał nad tłumem.

— Oklaski. Oklaski tak frenetyczne, że nie można było dojrzeć rąk, tylko skłębioną masę płam i linii.

— W szatni general i cywil — ubrani już — patrzyli w posadzkę.

— Et cet envol de l'aviateur d'une ville en flammes, tel un phénix s'élevant du brasier! — szeptał general.

— Cywil rozłożył ręce. — Une belle métaphore! — powiedział.

— A więc coś zza kulis metafory. Na dwa tygodnie przed datą „Poranku“ znajomy redaktor zatelefonował do mnie...

— Redaktor zaprowadził mnie poprzez tłum rodaków za szklane przepiężenie, gdzie w kłitce zaopatrzonej w maszynę do pisania, telefon i kilka stołków, najwyraźniej urzędował.

— Redaktor był teraz urzędnikiem. Urząd jego nazywał się Biuro Prasowe. Biuro Prasowe należało do polskiego rządu.

— Redaktor był teraz urzędnikiem. Urząd jego nazywał się Biuro Prasowe. Biuro Prasowe należało do polskiego rządu.

— Redaktor był teraz urzędnikiem. Urząd jego nazywał się Biuro Prasowe. Biuro Prasowe należało do polskiego rządu.

— Redaktor był teraz urzędnikiem. Urząd jego nazywał się Biuro Prasowe. Biuro Prasowe należało do polskiego rządu.

— Redaktor był teraz urzędnikiem. Urząd jego nazywał się Biuro Prasowe. Biuro Prasowe należało do polskiego rządu.

— Redaktor był teraz urzędnikiem. Urząd jego nazywał się Biuro Prasowe. Biuro Prasowe należało do polskiego rządu.

— Redaktor był teraz urzędnikiem. Urząd jego nazywał się Biuro Prasowe. Biuro Prasowe należało do polskiego rządu.

— Redaktor był teraz urzędnikiem. Urząd jego nazywał się Biuro Prasowe. Biuro Prasowe należało do polskiego rządu.

— Redaktor był teraz urzędnikiem. Urząd jego nazywał się Biuro Prasowe. Biuro Prasowe należało do polskiego rządu.

— Redaktor był teraz urzędnikiem. Urząd jego nazywał się Biuro Prasowe. Biuro Prasowe należało do polskiego rządu.

— Redaktor był teraz urzędnikiem. Urząd jego nazywał się Biuro Prasowe. Biuro Prasowe należało do polskiego rządu.

— Redaktor był teraz urzędnikiem. Urząd jego nazywał się Biuro Prasowe. Biuro Prasowe należało do polskiego rządu.

— Redaktor był teraz urzędnikiem. Urząd jego nazywał się Biuro Prasowe. Biuro Prasowe należało do polskiego rządu.

— Redaktor był teraz urzędnikiem. Urząd jego nazywał się Biuro Prasowe. Biuro Prasowe należało do polskiego rządu.

— Redaktor był teraz urzędnikiem. Urząd jego nazywał się Biuro Prasowe. Biuro Prasowe należało do polskiego rządu.

— Redaktor był teraz urzędnikiem. Urząd jego nazywał się Biuro Prasowe. Biuro Prasowe należało do polskiego rządu.

— Redaktor był teraz urzędnikiem. Urząd jego nazywał się Biuro Prasowe. Biuro Prasowe należało do polskiego rządu.

— Redaktor był teraz urzędnikiem. Urząd jego nazywał się Biuro Prasowe. Biuro Prasowe należało do polskiego rządu.

— Redaktor był teraz urzędnikiem. Urząd jego nazywał się Biuro Prasowe. Biuro Prasowe należało do polskiego rządu.

— Redaktor był teraz urzędnikiem. Urząd jego nazywał się Biuro Prasowe. Biuro Prasowe należało do polskiego rządu.

— Redaktor był teraz urzędnikiem. Urząd jego nazywał się Biuro Prasowe. Biuro Prasowe należało do polskiego rządu.

— Redaktor był teraz urzędnikiem. Urząd jego nazywał się Biuro Prasowe. Biuro Prasowe należało do polskiego rządu.

— Redaktor był teraz urzędnikiem. Urząd jego nazywał się Biuro Prasowe. Biuro Prasowe należało do polskiego rządu.

— Redaktor był teraz urzędnikiem. Urząd jego nazywał się Biuro Prasowe. Biuro Prasowe należało do polskiego rządu.

— Redaktor był teraz urzędnikiem. Urząd jego nazywał się Biuro Prasowe. Biuro Prasowe należało do polskiego rządu.

— Redaktor był teraz urzędnikiem. Urząd jego nazywał się Biuro Prasowe. Biuro Prasowe należało do polskiego rządu.

— Redaktor był teraz urzędnikiem. Urząd jego nazywał się Biuro Prasowe. Biuro Prasowe należało do polskiego rządu.

— Redaktor był teraz urzędnikiem. Urząd jego nazywał się Biuro Prasowe. Biuro Prasowe należało do polskiego rządu.

— Redaktor był teraz urzędnikiem. Urząd jego nazywał się Biuro Prasowe. Biuro Prasowe należało do polskiego rządu.

— Redaktor był teraz urzędnikiem. Urząd jego nazywał się Biuro Prasowe. Biuro Prasowe należało do polskiego rządu.

— Redaktor był teraz urzędnikiem. Urząd jego nazywał się Biuro Prasowe. Biuro Prasowe należało do polskiego rządu.

— Redaktor był teraz urzędnikiem. Urząd jego nazywał się Biuro Prasowe. Biuro Prasowe należało do polskiego rządu.

— Redaktor był teraz urzędnikiem. Urząd jego nazywał się Biuro Prasowe. Biuro Prasowe należało do polskiego rządu.

— Redaktor był teraz urzędnikiem. Urząd jego nazywał się Biuro Prasowe. Biuro Prasowe należało do polskiego rządu.

— Redaktor był teraz urzędnikiem. Urząd jego nazywał się Biuro Prasowe. Biuro Prasowe należało do polskiego rządu.

— Redaktor był teraz urzędnikiem. Urząd jego nazywał się Biuro Prasowe. Biuro Prasowe należało do polskiego rządu.

— Redaktor był teraz urzędnikiem. Urząd jego nazywał się Biuro Prasowe. Biuro Prasowe należało do polskiego rządu.

— Redaktor był teraz urzędnikiem. Urząd jego nazywał się Biuro Prasowe. Biuro Prasowe należało do polskiego rządu.

— Redaktor był teraz urzędnikiem. Urząd jego nazywał się Biuro Prasowe. Biuro Prasowe należało do polskiego rządu.

— Redaktor był teraz urzędnikiem. Urząd jego nazywał się Biuro Prasowe. Biuro Prasowe należało do polskiego rządu.

— Redaktor był teraz urzędnikiem. Urząd jego nazywał się Biuro Prasowe. Biuro Prasowe należało do polskiego rządu.

— Redaktor był teraz urzędnikiem. Urząd jego nazywał się Biuro Prasowe. Biuro Prasowe należało do polskiego rządu.

— Redaktor był teraz urzędnikiem. Urząd jego nazywał się Biuro Prasowe. Biuro Prasowe należało do polskiego rządu.

— Redaktor był teraz urzędnikiem. Urząd jego nazywał się Biuro Prasowe. Biuro Prasowe należało do polskiego rządu.

— Redaktor był teraz urzędnikiem. Urząd jego nazywał się Biuro Prasowe. Biuro Prasowe należało do polskiego rządu.

— Redaktor był teraz urzędnikiem. Urząd jego nazywał się Biuro Prasowe. Biuro Prasowe należało do polskiego rządu.

— Redaktor był teraz urzędnikiem. Urząd jego nazywał się Biuro Prasowe. Biuro Prasowe należało do polskiego rządu.

— Redaktor był teraz urzędnikiem. Urząd jego nazywał się Biuro Prasowe. Biuro Prasowe należało do polskiego rządu.

— Redaktor był teraz urzędnikiem. Urząd jego nazywał się Biuro Prasowe. Biuro Prasowe należało do polskiego rządu.

— Redaktor był teraz urzędnikiem. Urząd jego nazywał się Biuro Prasowe. Biuro Prasowe należało do polskiego rządu.

— Redaktor był teraz urzędnikiem. Urząd jego nazywał się Biuro Prasowe. Biuro Prasowe należało do polskiego rządu.

— Redaktor był teraz urzędnikiem. Urząd jego nazywał się Biuro Prasowe. Biuro Prasowe należało do polskiego rządu.

— Redaktor był teraz urzędnikiem. Urząd jego nazywał się Biuro Prasowe. Biuro Prasowe należało do polskiego rządu.

— Redaktor był teraz urzędnikiem. Urząd jego nazywał się Biuro Prasowe. Biuro Prasowe należało do polskiego rządu.

— Redaktor był teraz urzędnikiem. Urząd jego nazywał się Biuro Prasowe. Biuro Prasowe należało do polskiego rządu.

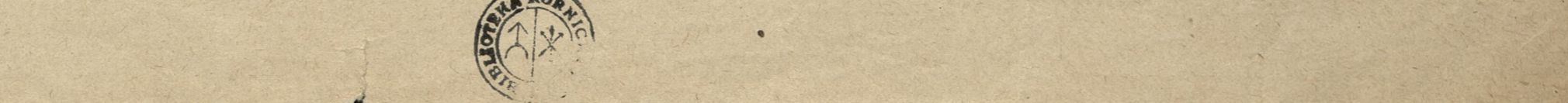
— Redaktor był teraz urzędnikiem. Urząd jego nazywał się Biuro Prasowe. Biuro Prasowe należało do polskiego rządu.

— Redaktor był teraz urzędnikiem. Urząd jego nazywał się Biuro Prasowe. Biuro Prasowe należało do polskiego rządu.

— Redaktor był teraz urzędnikiem. Urząd jego nazywał się Biuro Prasowe. Biuro Prasowe należało do polskiego rządu.

— Redaktor był teraz urzędnikiem. Urząd jego nazywał się Biuro Prasowe. Biuro Prasowe należało do polskiego rządu.

HENRYK SIENKIEWICZ
OGNIEM I MIECZEM
cztery tomy po 5/6 (opr.) za tom
M. I. KOLIN (Publishers), LTD., 20, Bloomsbury Street, London, W.C.1 i 28, King Edward Street, Perth



STRATTON STREET PICCADILLY, W. I.
Phone: MAYFAIR 7807-9
Le Boq d'or Restaurant
MAISON FRANÇAISE
pod auspicjami kulinarnymi
PP. HENRI SARTORI I E. BERHAUD
Sala restauracyjna, większe i mniejsze sale bankietowe

ROZMAITOŚCI

WŁOCH O POLSCE

La Polonia non è morta.
Finché noi viviamo...

Pod sam koniec 1939 r. ukazała się we Włoszech książka przepiękna a pełna miłości, wiary i nadziei w zmartwychwstanie Polski*. Podziwiać trzeba odwagę autora, p. Luciano Berra, który zdając ominięć siła faszystowskiej cenzury i puścić w swój kraj a zarazem w świat szeroki słowa pełne holdu dla ducha Polski, współzucia dla Polaków i nie-tajonej antypatii do barbarzyńskich najeźdźców. Zwłaszcza, że książka ta ujrzała światło dnia już po słynnym wyroku na Polskę, wydanym przez dzisiejszego wasala Niemiec, Mussoliniego. Jeśli nie zapomniemy nigdy słów, wyrzeczonych przez wodza faszystów, nie możemy zapomnieć również i słów p. Berra, napisanych w sytuacji nad-wyraz dla niego trudnej.

Cała książka jest jednym wielkim poklo-nem, złożonym przez Włocha naszemu krajowi i jego „anima eroica”. Opisując piękno Polski, jej muzykę, architekturę, tańce, bogactwa przyrody, stwierdza on na każdej stronie i w każdym wierszu, że wbrew dzisiejszej tragedii naród nasz nie da się zniszczyć i że naprzekór najęźdźcom pozostanie duch: „qualcosa sopravvive”.

Zaczynamy historię naszych ostatnich dwu-dziesiąt lat od Piłsudskiego, przechodzi ją nader obiektywnie, mówi śmiało o bohater-skiej obronie kraju, o jego zniszczeniu, poczem wspomina o naszej obecnej sytuacji, kreśląc zyciorys Prezydenta Rakwickiewicza, premyera Sikorskiego i gen. Sosnkowskiego. Mówiąc o wojsku polskim we Francji, podniósł Berra jego religijność i podał kilka szczegółów o ks. biskupie Gawlinie. Rzecz niezmiernie charakterystyczna, że naprzekór słowom Mussoliniego, p. Berra, nasz przyja-ciel i szczerzy demokrat, widzi w rządzie na emigracji ciąg dalszy polskiej państwowości i mówi o gen. Sosnkowskim jako o wyzna-czonym przez p. Prezydenta następcy w razie gdyby stanowisko to zaważowało przed zawarciem pokoju. Na temat kontynuacji państwa polskiego nie ma autor najmniejszych wątpliwości.

Nie ma także wątpliwości najmniejszych, gdy mówi np. o Poznaniu, które to miasto uważa za jedno z najbardziej polskich („una delle città più polacche della Polonia”). Podobnie wyraża się o Lwowie, poświęcając kilka pięknych zdań dzieciom-obrocom Lwowa. Podobnie mówi o Wilnie, o Śląsku, o Gdyni, podobnie o całej Polsce bez reszty.

Głęboka miłość wyciera z każdego słowa, głęboki smutek budzi w autorze los naszego kraju, który podług niego jest krajem ekstazy religijnej i modlitwy gorącej ale zawsze przepojonej bólem. Podziw p. Berra dla ducha religijnego Polski i dla ofiar, złożonych na ołtarz katolicyzmu, jest tem bardziej charakterystyczny, że równocześnie Watykan milczy, zapominając wogóle słowa „Polska”. Człowiek świecki widzi to na co Stolica Apostolska zamyka oczy.

Książka, choć jest to spory tom o blisko trzystu stronach, stanowi zaledwie wstęp do dzieła o Polsce, które autor opracowuje. Wypracowanie to dzieło, którego autor wy-dawca, nie jest ona tania reklama turystyczna, ale stara się ziemię naszą i objawy naszego życia, oświetlić wszech-stronnie i zarazem dogłębnie. Charakter-ystyka sytuacji politycznej przed wojną, równie jak wspomnianie już zyciorys p. Prezydenta, premyera Sikorskiego i gen. Sosnkowskiego, świadczą o dobrych źródłach, które mi pomagał się p. Berra.

Strona zewnętrzna książki wypadła bardzo okazale, reprodukcje stoją na wysokim poziomie artystycznym, nie brak zaś wśród zdjęć nawet fotografii, przedstawiającej obecny rząd polski.

Tej pozycji w stosunkach polsko-włoskich nie zapomniamy! Cokolwiek powiedział Mus-solini albo Ciano, przeciw w tych wzajem-nych stosunkach naszych „qualcosa soprav-vive”!

ZYGMUNT NOWAKOWSKI.

* Luciano Berra. La Polonia e i Po-lacchi. Con 190 fotografie. (Mediolan, 1939; str. 5n1. i 281 i 5n1.

W poprzednim 8-stronicowym numerze (55) „Wiadomości Polskich” (11 ilustracji): *Stefania Zahorska*: Bilans inteligencji. — *Zygmunt Nowakowski*: Szwedłowska okolica. — *Karol Jan Kocjanowski*: Z „Odrpawy postów greckich”. *Zygmunt Krasiński*: Hellada i Roma. *Uppjan Norwid*: Fragment z „Odysei” Homera. *Julian Tuwim*: Sokrates tańczący. *Stanisław Wyspiański*: Senny grekowie z „Nocy listopadowej” i z „Akropolis”. *Aleksander Świętochowski*: Fragment z „Aspazji”. *A. E. Odyńiec*: Legja tebańska. *Henryk Sienkiewicz*: Wyrok Zeusa. *Ignacy Baliński*: Z „Kob-lacki Adama”. *Felicjan Faleński*: Z „Althei”. *Stanisław Wyspiański*: Z „Me-laegra”. *Kazimierz Tetmajer*: Dyskobol. *Kazimierz Wierzyński*: Dyskobol. *Józef Wittlin*: Grecja a my. *Lucjan Rydel*: Wenus Miłowska. *Juliusz Słowacki*: Z „Podróż do Ziemi Świętej”. *Adam Asnyk*: Herakles. *Maria Konopnicka*: W rocznicę Termopilów. *Konstanty Gaszyński*: Homer. *Bohdan Zaleski*: Dzieła Homera. *Adam Mickiewicz*: Z *Pindara*. *Amilkar Kosiński*: Rzymianie w Grecji. *Kornel Ujejski*: Z „Maratonu”. *Kazimierz Tetmajer*: Pochwała dawnej dzielności greckiej. — *Politicus*: Battle of the Atlantic. — *Alfa*: Rozmaitości. — *Gustaw Gazda*: Rzeczy polskie w prasie brytyjskiej. — Życie kulturalne pod zaborem sowieckim. — Korespondencja. — „Bachus i Ariadne” Antonia Conradini. — Tom wierszy Stanisława Balińskiego.

POLSKA KRAWIEC
wykonawca ubrania cywilne i mundury wojskowe, oraz damskie kostiumy po cenach umiarkowanych.
Poprawki i przeróbki. Specjalista w czyszczeniu bez śladu wypalonych dżur i rozdzierania materiału.
M. FOX, 31a, Buckingham Palace Rd., S.W.1
Węskacie obok Hotelu RUBENS Tel. VICTORIA 6241

GEORGE ODELL LTD.
OPTYK
OPRAWY DO SZKŁEK I SZKŁA
przeznacznie dostosowane do in-
dywidualnych wymagań klientów
specjalne ceny dla oficerów i szeregowych armii polskiej
36, Welbeck St. W.1 i 31, King St., St. James S.W.1

Komitet zbiorczy funduszy na obronę państwa w jednym z miast południowej Anglii postanowił zgromadzić w ciągu tygodnia 100 000 funtów. Zadanie było nielatywne, jeśli się zważy, że miejscowość liczyła tylko 20 000 mieszkańców, i członkowie komitetu martwili się, że nie osiągną pełnej sumy. Z pomocą przyszedł im jednak Göring. W połowie tygodnia zbiorczego „Luftwaffe” zaatakowała silnie miasteczko. Przed biurami komitetu utworzyły się kolejki, i w sobotę zamknięto zbiorczą sumę 181 000 funtów.

Niektórzy powieściopisarze twierdzą, że życie zaczyna się po czterdziestce. Profesor Lehman z uniwersytetu w Ohio, U.S.A., nie wierzy literaturze i polega tylko na statystyce. Obliczył, że w okresie szczytowego powożenia zależy od zawodu. Wynalazcy osiągną go między 31 a 35 rokiem życia, chemicy między 28 a 32, powieściopisarze między 40 a 44 (poczem następuje szybki zanik sił twórczych), astronomowie między 44 a 47, a kompozytorzy między 30 a 39. Rzecz ciekawa, że kompozytorzy utworów kościelnych są u szczytu twórczości już w okresie 23 a 27.

„Der Achse wird mancher Stoss versetzt, Sie rührt sich nicht und bricht zuletzt.” (Goethe).

„Władze brytyjskie internowały Lady Howard, ponieważ przedstawiała ona Williama prawdziwą sytuację Anglii” (rozgłoszona rzymska). „Nie wiedziałem nawet, że taka pani istnieje!” (Wendell Willkie).

Amerycy opanołowe nowe zaleźństwo o dość ponurą nazwę „voodoo”. Polega ono na przeklinaniu Hitlera i przenoszeniu drogą astralną tych przekleństw na dyktatora Rzeszy.

„Voodoo” uprawia się indywidualnie lub zbiorowo. Potrzebne utensylia: portret Hitlera lub lepiej jego bust (nie może być metalowy) gwoździe, szpilki i inne ostre przedmioty, motek i beben.

Zabawa polega na monotonnym biciu w beben i rytmicznym wykrzykiwaniu: „Hitlerze, jesteś wrogiem ludzkości. Przeklinamy cię. Przeklinamy cię za każdą łzę i za każdą kroplę krwi, którą przelałeś. Musisz umrzeć.”

W przerwach chór odpowiada na te zaklęcia: — Oby się to stało jak najprędzej.

Następnie uczestnicy obrzędu wbijają gwoździe i szpilki w podobiznę dyktatora. Wyznawcy „voodoo”, którzy skazani są na samotne odprawianie czarów, muszą się oczyścić, ohejęć bez bebn i wbijają szpilki w kukłę przedstawiającą Hitlera, poświęcając główną uwagę szyi, która jest, jak wiadomo, jego... piętą Achillesa.

Tysiące Amerykanów wierzą, że zabieg ten okaże się skutecznym, gdyż Hitler jest zabor-ny i ma lęk przed tajemnymi siłami.

Kto nie słucha rad niemieckiego, ten nie wie że jednym z głównych składników diety londyńczyków są uda żab i ropuch łapanych masowo w bagnach hrabstwa Essex. Goebbls twierdzi, że 50 tysięcy tych udat znalazło się na talerzach mieszkańców stolicy.

Wiadomości to nie jest całkiem niepraw-dziwa. Blokada brytyjska przychwyła dła-żaniem transport 50 000 mroźnych udat żab-nych wystanych z Ameryki Południowej do Europy. W kilku francuskich restauracjach w Soho można już, zdaje się, dostać ten przysmak.

Somerset Maugham napisał swego czasu nowelkę o człowieku, który umarł na czkawkę. Najwidoczniej odporność ludzka zmalała w ostatnim stuleciu, gdyż jak wyzperal jeden z czytelników „Times’a”, w przykładzie nie-mieckiego podręcznika lekarskiego sprzed 150 lat mamy opis pacjenta, która pomimo dwa-łdziesiąt lat trwającej czkawki, cieszyła się doskonałym zdrowiem. Narodowość pac-ientki jest nieznaną, i autor listu do „Times’a” zapytuje, na czyje czoło — Niemiec czy Anglii — zapisz ten niezwykły fakt odpor-ności duchowej i fizycznej.

Z frontu afrykańskiego nadchodzi wiadomo-ść o nowej „tajnej” broni Anglików. Bronią tą są... pszczoły. Jeden z frontów włoskich w Abysynji bronii się uporzeczy, aż wreszcie dowódcą oblegających oddziałów wpadł na świetny pomysł. Pewnej nocy zebrał-ono wszystkie gniazda dzikich pszczoł, użył-ono je w murach fortu. Nazajutrz po Wło-chach nie było śladu. Jest to pierwszy przy-padek wojny... entomologicznej.

„Poniważ dyplomaci brytyjscy zawracają woź w swym bagażu środki wybuchowe, trudno się dziwić, że w walizkach p. Rendella nastąpił wybuch” (Goebbls).

ALFA

NASTĘPNY (ŚWIATECZNY) NUMER
„WIADOMOŚCI POLSKICH”
UKAŻE SIĘ
W OBJĘTOŚCI 8 STRON DRUKU

KORRESPONDENCJA

DWA ŚWIATY

Do redaktora „Wiadomości Polskich”
Pozwalam sobie odpowiedzieć na list Po-liticausa w nr. 53 „Wiadomości Polskich”.

Zaczęło od argumentu, który trafił zapewne do przekonania autora listu, człowieka nawró-żonego współczesnego, wywołanego ze wszyst-kich okoliczności związanych z idealami demo-kracji. A więc Politicus ma zupełną słusz-ność, kiedy twierdzi, że Wielka Brytania gotowa jest w każdej chwili zawrzeć sojusz z państwem o ustroju totalitarnym. Nie do-daje on jednak, że nastąpi to jedynie w wypadku, kiedy państwo takie będzie wybit-nie potrzebne do wzmożenia systemu o-bronnego Wielkiej Brytanii. Jeżeli jednak sprawą będą się miały odwrócić, a mianow-icie Polska potrzebować będzie pomocy bry-tyjskiej, wówczas Politicus zgodzi się chyba z mną, że Polska demokratyczna łatwiej uzyska to czego pragnie, niż Polska totali-tarna.

Nawias: czy takie, zdawałoby się, blache fakty, jak np. ten, że wiele poselstw i ambasad Stanów Zjednoczonych po różnych stolicach świata nie utrzymywało stosunków towarzys-kich z dyplomatami państw totalitarnych już na kilka lat przed wojną — nie był jednym z liczących czynników, torujących drogę do świeżo uchwalonej ustawy „Lense and Lend”?

Ala powróćmy do rzeczy. Ludzie „trzeźwi” typu Politicusa dużo mówią o realizmie. Realizm ten według mnie zawsze polega na skwapliwym przyjmowaniu tego stanu rzeczy, jaki jest, przy jednoczesnym odseparowaniu się od magicznego słowa „moralność” od tego o co trzeba ciężko walczyć w imię zasad moralności, przeważnie niepopulanych.

Każdy zgodzi się chyba ze smutną prawdą, że epoka nasza okazała się skłonna do brutal-ności i niekropotnia się losem bliźniego. Jed-ności i niekropotnia się losem bliźniego. Jed-ności i niekropotnia się losem bliźniego. Jed-ności i niekropotnia się losem bliźniego. Jed-ności i niekropotnia się losem bliźniego.

materiału piśmnomu humorystycznym i auto-rom rewlowym. Nawet w sanacyjnej Polsce z okresu najkrzykliwej krzepy nie-cyrowano w prasie wywodów na tematy społeczne koleżanek z C.I.F.u. Co do Priestleya, któ-rego mętnej lewoczości dotychczas nigdy nie posiadano o sympatje do ustrojów auto-rytarynych, Politicus przytacza jego zdanie, że narodowy socjalizm „obalil mit człowieka gospodarczego”. Przyznając zgóry, że nie wiem co to dokładnie znaczy, ale zato wiem, że we wszystkich nawoływaniach do badania nowych form społecznych, bez oglądania się na doświadczenia demokracji, gładzą się wy-wozić pragnienie „obalenia mitu człowieka moralnego”.

Nie mnie sądzić, czy uwagi p. Marcelo Karzewskiego w „Dzienniku Polskim”, na które Politicus odpowiada, były to „polskie zabawy w rekrimiację”, czy też „pora-chniki i wyponiki”. Wiem tylko, że jest wielu ludzi, którzy myślą i czują jak p. Kar-zewski, bez hawienia się w rekrimiację i bez zlatywania porachunków, gdyż sprawa, o którą chodzi, jest z kategorii najważniejszych.

Nawiasem mówiąc, p. Karzewski zwią-żany był przez lata całe z piśmem, odważnie i wiernie broniącym Polski od wpływów ideologicznych, dla której Politicus znajduje po-błażanie.

Na zakończenie słowa otuchy. Pamię-tajmy, że nikt z milionów ludzi, którzy wierzą w Boga i codziennie w świątyniach i w zaciżu domowym modlą się o zwycięstwo, nie modli się o zwycięstwo realizmu i trzeź-wości.

ANTONI SOBAŃSKI.

SZLACHTA I BOHATERSTWO

Do redaktora „Wiadomości Polskich”
Pan Tadeusz Zablocki, omawiając w nr. 53 „Wiadomości Polskich” przyczyny braku oporu orężnego Czechosłowacji, wskazuje jako jeden z powodów brak „szlacheckiego bohaterskiego pierwiastka”. Wynikałoby z tego stwierdzenia, że kraje bez szlachty są mniej dzielne i ofiarne w walce. Nie wie o hrabach szwajcarskich czy amerykańskich, ale historia nie odmawia tym narodom bo-haterstwa. niewiele wiem o udziale szlachty w obronie Finlandii, ale mam wrażenie, że Węgry czy Rumunia nie mogą się uskarżać na brak ludzi utytułowanych. W prawico-nych kołach francuskich umówiłem, nie brak było ludzi „dobrze urodzonych”. Zdałoby się, że już skończył się z niesławem stoso-waniem kryterium kastowych. Zdałoby się, że już nie trzeba będzie przypominać tradycji pierwiastków bohaterskich, idących od Ki-lingów przez cały ruch niepodległościowy i rewolucyjny Polskiej Partii Socjalistycznej, aż do ostatniego walki Ludu warszawskiego. Stosowanie podobnych kryterium jest tylko powiększaniem i tak dość znacznego pomie-żania pojęć na lamach czasopism polskich w Anglii.

ANTONI SŁONIMSKI.

W najbliższym czasie ukaże się

JÓZEF PIŁSUDSKI ROK 1920

z licznymi mapami i tablicami

cena 8/6 (w opr.)

M. I. KOLIN (Publishers) LTD., 20, Bloomsbury Street, London, W.C.1 i 28, King Edward Street, Perth

Czytelnicy o „Wiadomościach Polskich”

L. M. Z. B.: Słowa uznania należy wy-rzucić p. Pruskiemu za odważny artykuł „Learn English”. Jedynie mało... przekony-wające jest wieciance przed niego Pol-ski do wspólnoty ludów o kulturze anglosa-skiej.

St. B.: Chociaż praca lotnicza wypełnia mi cały dzień, znajduję jednak czas by po-znać o deski do deski nasze żołnierskie „Wiadomości Polskie”.

Wh. Ch.: Od chwili przybycia do Wielkiej Brytanii czytuję „Wiadomości Polskie”. Mało że czytuję „od deski do deski”, ale od ostatniego numeru do pierwszego i odwrot-nie. Mam je wszystkie. Nie będę sił się na powtarzanie słów pochwały dla ich treści. Pan Redaktor ciągle je słyszy i czyta, we wszystkich chyba listach. Ja przyciągam się do ogólnego głosu.

J. Ca. w Chicago: Proszę dalej utrzymy-wać ten sam ton wydawnictwa, t.j. nie pozwa-lać na zbyt osobiste krytyki i prywatne „bo-leści” jednostek, a dawać artykuły ogólne z różnych dziedzin. No, a co najwazniejsze, proszę dalej dawać nasze drogie skarby poezji polskiej. Łączę serdeczne życzenia rozwoju dla „Wiadomości”.

H. D. w Chorley: Jak Pan wie, jestem mało patetyczna, dlatego nie chcę na piśmie śpiewać panegiryków na cześć Pana spowodu „Wiadomości”.

Z. D.: Wyrażając najszersze podzięko-wanie za tak wartościową i różnorodną treść „Wiadomości Polskich”, chciałbym wystąpić z prośbą o powiększenie objętości piśma o dalsze dwie strony, przy proporcjonalnym podwyższeniu ceny. Sądzę, że urzeczy-wistnienie tego uzależnione byłoby tylko od decyzji Redakcji, bo czytelnicy mogliby być jedynie jak najbardziej wdzięczni, mogąc za dopłatą 2 pensów tygodniowo otrzymywać znacznie więcej tych, zwłaszcza w naszych obecnych warunkach, bezcennych artykułów. Wierząc, że zechce Pan wziąć pod uwagę mój projekt, przesyłam serdeczne życzenia dalszej owocnej pracy.

Z. P.: Właśnie dlatego że uważam „Wiadomości Polskie” za piśmo stojące na wysokim poziomie, krzewiące na obczyźnie kulturę i czystość języka polskiego — zależy mi na tem aby nawet i te drobne usterek, jakie się jeszcze tu i owdzie wkradają, dopomóc Panu usunąć...

M. Gr.: Nigdy nie pisałam jeszcze do żadnej redakcji t.zw. „słów uznania” — ale pierwszy raz w życiu nie mogę powstrzymać się by na ręce Pana Redaktora nie przelać całej radości z każdego nowego numeru Jego piśma... Te same „Wiadomości” — czytane co piątek w Warszawie — kto wie czy tylko nie lepsze, nie trafiające bardziej do serca.

T. Gw-B.: Dziękujemy serdecznie za „Wiadomości”. Jesteśmy Panu Redaktoro-wi wdzięczni za Jego stanowisko. Postawa „Wiadomości” jest naprawdę nie-zależna.

Osk. H. w Nowym Jorku: Przy sposob-ności pragnę złożyć Panu Redaktorowi wyrazy szczerzego uznania za tak doskonale prowadzenie „Wiadomości Polskich” w naj-trudniejszych warunkach jakie sobie można wyobrazić. W obecnej chwili znaczenie takiej placówki kulturalnej jest wręcz nie-ocenione.

Inf. T. J. w Hants: ... przeczytałem nr. 44 „Wiadomości Polskich” i Pana „Kulturę z puszek” — uwagi bardzo szlachetne...

Z. J.: Nie wiem jak Panu dziękować za „Skarbnicę” w nr. 54 „Wiadomości”. Na nie utarte zwroty, formuły najbardziej uprzejme, na nie zwielgłość i grandiloquencja wobec tego wielkiego świata, jakie rozpała zbiorowy poemat o Machnickim. Czytaliśmy to przecież kiedyś, przeżywalimy po swo-jemu, dziś plomien trawicy Żeromskiego spala nas, wspaniała, dostojna mądrość Mickiewicza oświeca nas, Goszczyński, Niemcewicz, Askenazy mówią językiem ży-wych ludzi, językiem płacówec ze szkołkich pagórków. Raz jeszcze stajemy twarzą w twarz z Tą, którą światu imię tak rzadko jawiło się na wargach poety „Marchalotta”, bo tak głęboko zapadło mu w serce. Raz jeszcze, za Wyspiańskim, zarliwie, gorąco, najpiękniejszą polską mową, powtarzamy wyznajemy wiary: „Polska, to wielka rzecz”. Gdy jeden jątrzą rojącym jarem, inni odkry-wają świeże blizny, u obcych lekarzy szukając pomocy, Machnicki wypala białem żelazem polski trąd. Jako żołnierz na obojętnej ziemi, nie mogę mówić wiele. A są sprawy, o których należałoby wołać. Więc dziękuję Panu za skrobanie ziemniaków. Nie że styl świetny, myśl cięta i sprawa krzyżująca. Za prawdę, prawdę w oczy.

J. K.: Uważam za mity obowiązek czytel-nika wyrazić prawdziwą wdzięczność za ostatni szczególnie numer (54) „Wiadomości Polskich” ze świetnym feljetonem Pana Redaktora. Był on... w tym czasie... wprost konieczny. Pożatem wspaniale do-brana „Skarbnica Polska” i artykuły dysku-syjne — na wysokim poziomie, kurtuazyjne wobec przeciwników, którzy przecieć też tą jedną myślą żyją co my wszyscy. „Wiadomości” dobrze służą sprawie kultury naszej i mają bardzo duży wpływ. Gdyby tylko nasza góra... poczytała sobie od czasu do czasu!

J. L. w Rio de Janeiro: Najmocniej i naprawdę dziękuję... za „Wiadomości”, w których zawsze znajduję coś świętego i pasjonującego, i wiem że to nie tylko nostalgia i brak polskich słów. Ma się wrażenie że oddawna pierwszy raz idzie jakaś robota mózgow, niepokój serc, poru-szenie sumień, i choć większość artykułów macejaby się samemu chciało napisać, więk-szość z nich przecieć trafia w sedno najwa-żniejszych spraw.

„Poranek warszawski” — o czem naturalnie wiede — jest i będzie arcydziełem Balińskiego, jest nim samym, jego sposobem uczucia, jego urokiem wyraz-onym przez najbardziej delikatnie i w szo-peniowskim tego słowa znaczeniu naj-barziej wytworne słowa... to bardzo po-cieszające i wzruszające — widzieć że dobry, doskonały poeta utrafił w jakiś ton, który zapewnia mu pozostanie na zawsze w literaturze... „Ballada o dwóch świecach” — piękna, głęboka i w najlepszym słowa znaczeniu szczerza... było parę feljetonów Nowakowskiego, napewno najświetniejszych jakie napisał, w nieznanym mi dotychczas-ego tonie — o Mickiewiczu i o śmierci Węgrzyna. Bardzo naprawdę wzruszające i w skali jaką wziąć teraz należy.

J. L.-M.: ...jestem stałym czytelnikiem i sympatykiem „Wiadomości Polskich” i z prawdziwą przyjemnością czytam je uwie-żnie, pomimo trudnych warunków, redagowa-nie piśma.

J. R. M.: Wybacz Pan poufałość, ale niech ono będzie wyrazem sentymentu, który tu wyszyje dla Pana czytujemy. Tyła nam Pan swem piórem otuchy, odwagi i nadziei dodaje, że wszyscy pragnielibyśmy czuć się bliżej Panu tak jak Pan jest bliższy nam.

M. N.: Zawsze czytam „Wiadomości” od deski do deski, a czynię to z przyjemnością i z pożytkiem.

R. Ord. w Nowym Jorku: Sposób, w jaki Pan prowadzi dalej piśmo... czujność proble-matów... niewzruszenie świadczą że jest Pan co najmniej kapitalnym redaktorem na wszelkie czasy — także i takie... Baliński, nowo rosnący jako poeta, Kunciewiczowa, której ta wojna posłużyła do pokazania nam tyłu nowych światel, za które ją będziemy zawsze szanowali i kochali.

Art. Pr.-L.: Miło mi... podziękować Re-dakcji bardzo serdecznie za wspaniały po-karm, jakim są „Wiadomości Polskie”, a zarazem wyrazić szczerze ubolewanie że się nie znajdują one co najmniej dwa razy w tygodniu.

J. R.: Nr. 54 „Wiadomości Polskich” — dobry. Szczególnie „Skarbnica Polska” dobrze ułożona. J. U. Niemcewicz, „Samo-bójstwa oficerów” zawierają kilka zdań aktualnych. Dziękuję za myśli wyrażone w „Skrobanie ziemniaki”. Z oczyszczonych ziemniaków zrobił Pan tu wiele cukru — pierwszorzędного gatunku. Przy fabrykacji powstało trochę soli — czy też innych zwią-zków azotowych. Niektórym działalo to na oczy. Jednak Pan umie lepiej pisać niż skrobać ziemniaki. Oczywiście Pan tylko ty-„oczka” nie zauważyłszy innych. Należy dobrze czytać. W tym ziemniaku oprócz składników odżywczych mogą być zararki. Należy unikać zararków chorobowych. My musimy być zdrowi.

St. R. na Cyprze: „Wiadomości” dostajemy raz na dwa miesiące, i wtedy czyta się je lap-czywie od deski do deski. Człowiek poprostu potrzebuje wymiany myśli... wobec teściuka intelektualnego Kraju narazie emigracja musi myśleć na całą Polskę.

Fr. S.-P.: ...nie mogę się... oprzeć wzru-szeniu po przeczytaniu... feljetonu z cen-zusem... Jakby to było dobrze — myślę sobie — posłać... feljeton do Kraju, jakby się ludzie nim ucieszyli i jaka wielką miałby tam wartość. A to jest chyba dzisiaj dla pisarza największa pochwała. Mógłbym napisać o wartości i „urodzie” feljetonu drugi (mniej piękny), wstrzymam się jednak obecn-ie, i niech... wystarczą moje skromne stwierdzenie że tego gatunku słowo staje się już czynem... Nekrolog Jana Włodka, poza świetnie ujętą sylwetką duchową wspaniałego człowieka... to ponadto zdany egzamin z prawdziwej przyjaźni — a to taka rzadka a piękna rzecz... Wypada mi jeszcze podkreślić radość z odrodzenia naszej poezji. Potrzeba było katastrofy, najtragiczniejszego nieszc-żęcia narodu żeby zadźwięczały słowa po-ezji najczystszej zlotem uczucia i wdzikiem formy. Wiersz Lechonia „Pożegnanie „Mar-sylianki” jest wyjęty z myśli i uczuć wszy-stkich żołnierzy polskich.

J. Skł.: Jestem stałym czytelnikiem „Wiadomości Polskich”. Czytam je od początku do końca, a w szczególności artykuły Pana, gdyż są one niecodzienną strawą i jak dawniej, tak i dziś...wywołują potrzebne skutki.

Dr. inż. W. Sz. w Pittsburghu: Czytam w Stanach Zjednoczonych... z wielkim zainte-rowsaniem artykuły Pana Redaktora o bie-gących sprawach polskich.

J. T.: Właśnie odłożyłem szczytki numeru bodaj że 54 „Wiadomości”... każdy z nume-rów jest czytany przez całą grupę młodych a zapaleńszych ludzi. Toteż każdy z nume-rów rozparcelowuje się na pojedyncze strony. Szkoda że nie można jeszcze pojedynczej karty na dwie osobne strony rozdzielić. Przypomniała mi się niedawno widziana jedna z pierwszych książek do nabożeństwa (J. Knox Publishers, gdzieś 1590 r.). Otóż tam sąsiednie spalty pisane są do góry nogami, jedna normalnie, druga naodwrot.

Celem tego było umożliwienie czytania książki większej ilości osób. Ale wciąż nie mogę dobrać do tego o co mi chodzi. A chodzi mi o szczytki „Wiadomości”. Czy nie daloby się drukować ich na mocniejszym papierze? ...kredowy papier, zapelny mi-miezi Pana artykułami, jest nader dla ręki przyjemny, ale ważniejsza bez porównania jest trwałość tych numerów. Niejedn-e bowiem z nich przechowyjemy gdzieś na dnie walizki wraz z najcenniejszymi serca naszego pamiętkami... Piśmo o tem, bo nie jest mi obojętny los najcenniejszego naszego piśma, którego redaktorowi zasylam jak

można najszersze i najserdeczniejsze życze-nia dalszej tak samo owocnej pracy.

J. W. w Lizbonie: ...uważam że piśmo w londyńskiej formie przewyższa paryskie. Piękne wiersze Słonimskiego...

K. W. w Rio de Janeiro: ...piśmo jest coraz lepsze. Balińskiego poemat o War-szawie przepiękny, czuły...

T. W.: Służę obecnie w marynarce i w ciągu długich rejsów będę Pana błogosławił, mając to zawsze niezawodne piśmo w ręce.

W. Z.: Posyłam serdeczne życzenia dal-szego rozwoju i tak już dzisiaj wspaniałego literacko piśma.

Z. Z.: Podobnego bałaganu myślowego jak w nr. 51 „Wiadomości” nigdy nie spotkałam.

Czytelniczka „Wiadomości Polskich”: Przed wszystkim bardzo dziękuję za artykuł „Skrobanie ziemniaki”. Nareszcie znalazł się ktoś, kto umiał podkreślić długi szereg nie-których w stosunku do postaci Wielkiego Marszałka.

Młodzi Podchorążowie: Brawo, Ksawery Pruszyński, za artykuł „Learn English”. Wkuwamy się angielskiego jak dzikie osły.

BRITAIN TO-DAY

Dwutygodnik „Britain To-Day” ma za zadanie informowanie czytelników zagranicznych o najrozmaitszych zagadnieniach brytyjskich. W każdym numerze znajdujemy kilka artykułów poświęconych sprawom społecznym, kulturalnym, wojsku i t.p. Współ-pracownikami piśma są wyłącznie fachowcy, którzy uchodzą za autorytety w danej dziedzinie.

Wydawnictwo „Britain To-Day” postano-wiło udostępnić kilkadziesiąt egzemplarzy cudzoziemcom zamieszkałym w Wielkiej Brytanii. Po numerach okazowe należy zwracać się pod adresem: The Editor, „Britain To-Day”, 3, Hanover Street, London W.1.

DO CZYTELNIKÓW „WIADOMOŚCI POLSKICH”

Wszystkich korespondentów bez względu na ich stosunek do „Wiadomości Polskich”, prosimy by listy swe podpisywali wyraźnie, zaopatrując je w czytelny adres. W wielu wypadkach listy zostają bez odpowiedzi tylko i wyłącznie z winy ich autorów.

Zwracamy uwagę, że listy anonimowe nie będą zaufania.

Wszystkie nowości

wydawnictwa polskie i o Polsce po an

SKARBNICA POLSKA

FRANCISZEK KARPIŃSKI

PIEŚŃ O NARODZENIU PAŃSKIM

*Bóg się rodzi, moc truchleje,
Pan niebiosów — obnażony;
Ogień krzepnie, blask ciemnieje,
Ma granice — nieskończony.
Wzgardzony — obrzyty chwala,
Śmiertelny — król nad wiekami:
A Słowo Ciałem się stało
I mieszkało między nami!*

*Cóż, niebo, masz nad ziemią?
Bóg porucił szczęście twoje,
Wszedł między lud ukochany,
Dzielać z nim trud i znoje!
Niemal cierpiał, niemal,
Ześmy byli winni sami.
A Słowo Ciałem się stało
I mieszkało między nami.*

*W nędznej szopie urodzony,
Ziob mu za kolebkę dano!
Cóż jest? czem był otoczony?
Był, pastorze i siano!
Uboży! was to spotkało
Witać go przed bogaczami!
A Słowo Ciałem się stało
I mieszkało między nami.*

*Potem i króle widziani,
Bóg porucił szczęście miłe,
Niosąc dary Panu w dani:
Mirra, kadzidło i złoto.
Bóstwo to razem zmieszano
Z wieśniaczkami ofiarami!
A Słowo Ciałem się stało
I mieszkało między nami.*

*Podnieś rękę, Boże Dziecie,
Błogosław ojczyznę miłą,
W dobrych radach, w dobrym bycie —
Wspieraj jej się swą siłą,
Dom nasz i majętność całą,
I twoje wioski z miastami!
A Słowo Ciałem się stało
I mieszkało między nami.*

FRANCISZEK KARPIŃSKI.

STEFAN ŻEROMSKI

NA PROBOSTWIE W WYSZKOWIE

Podczas srogiego deszczu, który lał, w istocie, jak z cebra, pomknął z pustych ulic Warszawy automobil należący do oddziału drugiego inspektoratu generalnego armii ochotniczej, dając w swym wnętrzu schronienie przed ulewą prof. Ferdynandowi Ruszczykowskiemu, p. Adamowi Grzymałowskiemu, p. Modzelewskiemu wraz z jego aparatem kinematograficznym, niżej podpisanemu, oraz dwu szoferom. Papiery podróże wyznaczyły kierunek na teren operacyjny frontu północnego. Skacząc, jak piłka, po kamiennych bulwach przedmieść Pragi, doskonale pojazd wyprzedził się na szosę radzymińską, na ów niepozorny szlak, co przed dwoma tygodniami sięgał na siebie oczy całej Polski, a nawet oczy całego świata. Miałem już być zaszczytnym gościem drogę przez dwa dni, wśród podrygów sroższego rodzaju w automobilu ciężarowym wraz z korespondentem pism francuskich p. Genty, pp. Izzykowskim, Pilarem i Mieryżńskim, bez dotarcia do zamierzonego celu, gdyż popusta rurka motoru uderzyła wówczas wyprawę. Ślad krótkotrwałych walk można było dostrzec tuż za ostatnimi umocnieniami z drutu i szeregiem rowów na pobrzeżu lasów, a przed szerokimi błotnami rozlewiskami: wzdłuż traktu ciągnęły się ciemne znaki schronów ziemnych, równoległe i symetrycznie wykopanych przez żołnierzy bolszewickich. Raz wraz przerywały jazdę popuste mosty. Gdy jeden z takich byłych mostów wypadło objechać, zbaczając z traktu na łękę, automobil zarzął się w rowniek od ulewy pastwisko i, w oczach nieomal, coraz głębiej zapadał. Trzeba było opuścić jego suche wnętrze i podczas najcięższej nawalnicy windować ciężkie pudło do góry. Na szczęście, żołnierze, zatrudnieni przy naprawie mostu, przyszyli z pomocą panom szoferom. Zapadnięte koła, przy użyciu lewara, który los szczęśliwy tam zesłał, wydobrano z błota i podsuwano pod nie deski, aż cały samochód wydzwignięto na grunt stalszy. Nim jednak to nastąpiło, ulewa przeczepiła nas wszystkich do szpiku kości. Stojąc wśród mokradła, mieliśmy wrażenie, iż sami na wzór samochodu, w topiel się zanurzamy. Nieskończony woz ten, oddziały konnicy i piechoty, ciężkie automobile ze sprzętem wojennym, pojazdy wracające z rannymi utrudniały dalszą drogę, gdyż już stanieliśmy znowu na bitym trakcie. Gdy wreszcie ruszyliśmy dalej, dosyć zgodnym chórem, mimo przekonaniowych różnic, szczęśliwym zębami. Wkrótce ukazał się Radzymiń z zgliszczami w środku rynku jeszcze dymiącymi, z domami poprzewieranymi od pocisków i cmentarną pustką, która legła w zbombardowanych placach i zaułkach. Z Radzymińska posunęliśmy się już żywej do Wyszki. Zbliżając się do tego miasteczka, spostrzegliśmy most na Bugu w stanie oplakanego zniszczenia. Trzeba było przepłynąć się za rzekę przez most kolonijny, a więc znowu windować samochód po głębokim piasku i przepaściwych wybojach. Gdy wreszcie dotarliśmy do środowiska miasta, objaśniono nam w wojskowej komendzie, iż gen. Józef Haller bawi właśnie na probostwie. Zbiegnęci i zmoczeni, postanowiliśmy szukać gościny u proboszcza. Indywiduum z nogami gruntownie przemoczonymi i z bielizną, która przejmując deszczem za każdym poruszeniem ciała, nie są w stanie przykładać należytej wagi do czci najwyższych dostojestw, tytułów najbardziej zasłużonych, a nawet w sposób godziwy szanować cudzego prawa do posiadania domu i jego ciszy. Co gorzej, w każdym z takich przemazrzałków budzą się niezdrowe i surowo zakazane rojenia o natchmianowości kielicha tegiej gorzałki — gdyby nawet był, jak niżej podpisany, wieloletnim i aż do znużenia wytrzymałym antyalkoholikiem. Na szczęście, drzwi mieszkania proboszcza w Wyszce, księdza kanonika Mieczkowskiego, same się gościźnie otwały, gdy zameldowano gospodarzowi ludzi przemokniętych. Zastaliśmy w dużym pokoju, oprócz wielkiego plebana i jego wikariusza, księdza Modzelewskiego — gen. Hallera i ambasadora francuskiego, p. Jusseranda. Trafiliśmy właśnie na sam środek relacji kanonika o pobycie w jego domu w ciągu ubiegłego tygodnia „rzędu polskiego” z namienia Rosyjskiej Republiki Rad, złożonego z rodaków naszych — dr. Juliana Marchlewskiego, Feliksa Dzierżyńskiego i Feliksa Kozka. Trudno było wśród zagadnień tak wysokiego poziomu, jak zmiana rządu, systemu społecznego i natury rządzenia w Polsce, jak wyrzucenie do góry nogami całego administracyjnego współzwiązku warstw społecznych, wyjechać z poziomu próbą o wyższej wzmiarkowanej kieliszek kłminkówki, a choćby „czystej”. Na szczęście, ksiądz wikary, nowodawany starą zasadą gościnności, której tak wielkie fenomeny wojny nie zdolają wyrzucić, zarządził postawienie przed każdym z nas szklanki gorącej herbaty. Co więcej — w cukiernicy, która jak ziszczenie pięknego marzenia, z ręki do ręki krążyła poczęła, oczy nasze ujrzały na jawie cukier kostkowy w najlepszym gatunku i pokajnej obfitości kawalków. Ksiądz wikary, nie przerywając najgłośniejszego poważnego dyskursu ambasadora Jusseranda z księdzem kanonikiem Mieczkowskim, zdolał szepnąć nam przybyzdom do ucha:

FRANCISZEK KARPIŃSKI.

ANTONI GORECKI

SAMO-SIERRA

*Gdzie wawóz Samo skalami się jeży,
Jest ciasne przejście, jak na szły rycerzy.
Tam dwumy Hesperian, siadłszy na gór-
szczyce,
Czekal z pioruny na wrogów przybycie.*

*Z jakim losotem w alpejskie nadbrzeża
Wód oceanu potęga uderza,
Tak szły do szturmów Frankowie zuchwali,
Lecz trzykroć bieglę i trzykroć wracali.*

*Jak niedostępne niebo dla bogaczy,
Tak była trudna dla męcznych ta droga;
Próżne wysiłki mstwa i rozpacy,
Najmilsze dusze śmierć spychała sroga.*

*Zacięte Maury z gór wierzchu szczydził:
„Chodźcie tu, chodźcie, dawno was czekamy,
Wam tu Kastyliki robią usmiech miły,
Wam stary Madryt otwiera swe bramy”.*

*Wieniasz bohater, co wiodł nasze męze,
Przybiegl, gdzie polskie lśnią się orze;
W ciemnym milczeniu zwarte hufce stały,
Gdy on do wielkiej tak zachęcał chwaby:*

*„Wy, co z waszemi znajome szereg
Egiptu piaski, Apeninu śniegi,
Ty ze lwim sercem młodzieży nietrwożna,
Wam to zwyciężać, gdzie innym nie można”.*

*Rzekł. Huczący trąby, ostrzeżcież się świeci,
Przez grad hartaczy las porozwój leci,
Gremi grom po gromie i zapom uszły —
Na wierzchu szczytów usiadł orzeł biały!*

ANTONI GORECKI.

JAN SMOLIK

PIESŃ

*Zaprzął nie tygry, nie lwice, Cyprydo,
W złoty wóz: parę białych niech Kupido
Gołębci łecem jedwabnym pojenie
Przez chmurne cienie.*

*Opusł na chwilę Ankon ulubiony
I Cypr wesoly siebie poświęcony,
Spuść się na Wisłę, obacz naszej ziemie
To słyczne plemię.*

*Pięknymy przymiotów i wdzięcznej urody,
Która bez waszej trojańskiej niezgody
Rychlejbj klejnot odnośta piękności,
A przez zarośności.*

*Hesper jak jasna jest między gwiazdami,
Tak twe wspaniałe, panno nad pannami,
Są obyczajne, z natury przynadne,
Ozdoby godne.*

*Jesli jest Cnota chwalebna wszędzie,
Tedy ma lutnia ciebę sławić będzie,
I wiersz mój śpiewać tobie, tobie kwoli
Serce mię boli.*

*A ty, co serca ranisz hartownemi
Strzałami, czasem nieś jałowitemi,
Ugodź ją złota, aby twe postrzały
Już tam moc miały.*

JAN SMOLIK.

FRANCISZEK BOHOMOLEC

PIEŚŃ KURDESZOWA

*Każ przynieść wina, mój Grzegorz miły!
Znika natchmian smutek serca wszelki,
Bodaj się troski nigdy nam nie śniły,
Niech i Anulka tu zasiadzie z nami:
Kurdesz, Kurdesz, nad Kurdeszami!*

*Skoro się przytknie ręka do butelki,
Znika natchmian smutek serca wszelki,
Wolajmyz tedy dżwoniac kieliszkami:
„Kurdesz, Kurdesz, nad Kurdeszami!”.*

*Niezdło to wino, do ciebie, mój Grzelo!
Cieszmy się póki możemy, przyjacielu,
Niech stad uszczęśliwa nudna w troskami,
Kurdesz, Kurdesz, nad Kurdeszami!*

*Patrzcie! jak dzielny skutek tego wina,
Już się me weseleści poczyna,
Pod stół kieliszki, pijmy szklencami!
Kurdesz, Kurdesz, nad Kurdeszami!*

*I ty Anulko, potowico Grzela,
Bądź uczestniczką naszego wesela:
Nie folguy sobie, zechceij wypić z nami,
Kurdesz, Kurdesz, nad Kurdeszami!*

*Już po butelce, niech tu stanie szlaska,
Wiwat! to cała kompanija nasza!
Wiwat z Maciusem i przyjaciolami!
Kurdesz, Kurdesz, nad Kurdeszami!*

*Maciusz jest partacz, pić nie lubi wina,
Mysł, że jemu złotem jest dziewczyna,
Dajmy mu pokój, pijmy sobie sami,
Kurdesz, Kurdesz, nad Kurdeszami!*

*Odnómy prozków ślady wiekoponne,
Przez stad szklenie, naczynta ułonne,
Po staroświecku pijmy puharami,
Kurdesz, Kurdesz, nad Kurdeszami!*

*Już też bo Grzelo przewyższasz nas wiołami,
Wiwat! to cała kompanija nasza!
Wiwat z Maciusem i przyjaciolami!
Kurdesz, Kurdesz, nad Kurdeszami!”.*

FRANCISZEK BOHOMOLEC.

FRANCISZEK MORAWSKI

WISŁA

*Sarmackiej Wisły zobopławne wody
W twarde ściażysy lody,
Cieszyły się sroga zima,
Ze je w swoich wężach trzyma.*

*„Patrzcie, — wołala, — patrzcie, dumne
waly,
Coście w tej śmiesznej wolności bujali,
W jakich jęście obokach!
Oto was każdy przychodzień
Depce, rabie codzień.*

*I byle Kalmuk jeździł wam po głowach;
A ty cóż na to? ani mruknął śmiecie;
Takie to was jarzmo emiecie,
Tak to zima włada!”.*

*„Prawda, że jesteś niezmiernie zażarta, —
Tak jej spod Tatrow, na swej urnie wspania,
Stara Wisła odpowiada, —
Nie wszędzie przecie cięz twa potęga:
Zawiesz tam, zawiesz pod tym twarzym lodem
Smialy i wolny nuri mój plynie spodem;
Tam twój władza nie sięga.*

*Niech tylko moje słonce mi zabyszy,
Wkrótce ja cała przestrzeń lodów przysnie:
Te śniegi nawet, któreś tu, zuchwała,
W przepaści gór tych nawiała,
Same mi kiedyś pomoga
Zrzucić twój przemoc srogi.*

*Dmij więc, dmij gromnie z twej Akiwiony,
Scajną, krepną nuri ścieśniony:
Spieszając wiosny nie zatrzymasz w pedzie,
Pójdiesz, skąd przyszłaś, Wisła Wisła
będzie!”.*

FRANCISZEK MORAWSKI.

ANTONI CZAJKOWSKI

PAJAK

*Pajak się Matec Boskiej sprzeciwia:
Bo chociaż Ona przedzie tak cienko,
On cieniej smię swoje krosienko
I w srebrne barwy jaśniejsz oszkliwia —
Więc nie grzech zabijać pajaka.*

*Lecz pajak-wieszaczek, po srebrnej sicoi
Zrana mieszcząc zwiastował leci:
A gdy wieczorne godziny wieje,
Wróbiła, złota ciesz się nadzieją —
Więc szkoda zabijać pajaka.*

*A pajak-muzyk na gruzach gości
I starym gromom z bratem-słowikiem
Promieniejac barwy językiem
Kwilil gdzieś w białku dumki przeszłości —
Więc żal zabijać pajaka.*

*A pajak-prorok, w złościęj sali,
Na brudnej przelży pierś swą kolyse
I szarym kłębkiem po ścianie pisze
Baltazarowe: „Bóg cię obali” —
Więc strach zabijać pajaka.*

*A pajak-mędrzec, gdy mu sieć zmioła,
W nadziejach pierś swej nie rozlema,
Ale ze starych serca promieni
Wnet rzeczywistość uplecie złota —
Jak nie iść w ślady pajaka?...*

ANTONI CZAJKOWSKI.

przyszłego wielkorządę naszej biednej ojczyzny, krótko, coppersda, sprawującego swą nad nami władzę i jak dotychczas, w niepokojnym Wyszowie. Nasycając się nierównanym gorcem i zatapiając w lubością w smak bolszewickiego cukru, przypomniałem sobie nadto, że przecież dr. Julian Marchlewski to jest mój szanowny wydawca. Posiadam stos jego listów, w których na licznych arkuszach spisane są statuty, umowy, kontrakty co do tłumaczenia pewnych moich pisanin na język niemiecki. Ponieważ, mimo owych statutów i wieloparafografowych kontraktów, zapewnających mi niebyłajkie korzyści materialne, mimo iż przekład niektórych utworów został wyzerpany, gdyż nabycia imprezy wydawniczej dr. Juliana Marchlewskiego, Petzold, zwracał się do mnie z prośbą o prawo wydania nowej edycji tegoż przekładu — z owych szeroko opisanych i solennie zapowiadanych korzyści materialnych mam w zysku tylko cenne autografy dr. Juliana Marchlewskiego, poczem się, jak powiadam, prawowitym właścicielem cukru, zostawionego przezeń w Wyszowie i na rachunek ewentualnych, da Bóg doczekać, honorarjów, wpakowałem do drugiej szklanki herbaty, laskawie podanej przez domowników księdza Mieczkowskiego, nowe trzy kawaly bolszewickie. Opily i rozgrzany przypomniałem sobie drugiego z wielkorządów — Feliksa Kozka. Widywałem go na procesie Stanisława Brzozowskiego w Krakowie jako jednego z sędziów. Postać wywiedła, zniszczona, człowiek jakby ze mgły, o twarzy sympatycznej nerwowego utypany — bohater warszawskiego „Proletariatu”. Jeden z tych, których dumne cienie w kajdanach widywały się na zbiorowej fotografii „proletariackich” w izbach socjalistów. Trzeci — Feliks Dzierżyńskiego — mam szczęście nie znać osobiście. Nigdy nie byłem w promieniu jego jurysdykcji i cięższe świadomości, iż nigdy nie widziałem ani jego twarzy, ani nie dotykałem ręki krwią obmazanej po lokcie, ani słyszałem wyrazów, z jego ust wychodzących. Wyznaje, iż to imię i nazwisko, wymówione w mej obecności, sprawia na mnie obmierzłe wrażenie duszności i jakby torsyj. Ci tedy trzej męzowie, gotujący się w cichym domu ustronnego probostwa do odegrania wielkiej roli na placach, tylerok przez obcy najazd deptanych, i w gmachach Warszawy, tylerok znieważonych przez cudzoziemca — byli przedmiotem ożywionej rozmowy. Gen. Haller tłumaczył ambasadorowi Jusserandowi na francuskie opowieści księdza kanonika. Próboszcz wierszkiem poznał był całkowitą ideologię bolszewizmu z jego strony zasadniczej, dogmatyczno-ideowej, jakby teologicznej, „pryncypjalnej”. Ponieważ miał możliwość prowadzenia z trzema dyktatorami in spe długich rozmów, zdawał tedy sprawę z ich przebiegów. Pan Jusserand troskliwie notował sobie co ważniejsze szczegóły i najbardziej czyste wyrażenia. Trudno tu było powtarzać te lokacje i dyskusje na temat wolnej woli, rewolucji, moralnego posłanięcia siły jednostek obdarzonych świadomością i wiedzą dobrą, zwłaszcza iż podane z ust, mogłyby stracić na prawdziwości i dokładności. Zresztą — tyle już razy o tych rzeczach pisało! Przyszyli władcy Polski i Warszawy, według relacji wszystkich obecnych, byli otoczeni silną strażą, która z nabitymi bronią pilnowała ich kwatery na plebanji, jeździła znakomitą i wytworną automobilami, jedli i pili doskonale, spali wygodnie. (Zawżone zadaje sobie pytanie, czemu też ludzie tego rodzaju zarabiają, na to dostatecznie życie? Głoszą zasady prawa, partego jedynie na pracy, sami stoją na poziomie wszystkich przyuczonych widołów, którzy swoj stanowisk odziedziczyli lub posiadli na mocy tanki lub owakiej intrygi).

Szybki okien na probostwie były powybijane przez kule. Stojąc przy jednym z tych okien i przez dziurę w śkle patrząc w cichy orzeź, zdziwiałem się, ile to w tem zacięciu w ciągu krótkiego czasu dokonało się przemian. Ludzie, o których była mowa, jakby żyły kształty abstrakcyjnych idei, przychodzili i odchodzili, przeciągali przez to mieszkanie, przynosząc z sobą istne kłęby inwetyw, skarg, marzeń, żużel, obłąkań — mówili o tyranji, krzywdach, morderstwach, torturach, przekleństwach i śmierci w rozpacy, nie spozstrzegając weale, iż sami wdrapują się na tę samą wyniosłość, wysługista przez męczeskie kolana, i że zniszczenia cierpiących wypcha im znowu w ręce berlo tyranji...

Któż to byli ci trzej goście, którzy w tych izbach mieli się z rzędem polskim? Czy ich lud polski wybrał, czy ich ktokolwiek na tej ziemi mianował? Lud polski czy naród polski, tak rozumiany, jak to jest w ich zwyczajach, nie naznaczał żadnego z nich w godność, którą sobie wybrali. Naznaczeni zostali przez kogoś wyższego, w obycz kraju, w swym zespole, w swej partji. Jako takich można by ich nazwać tytki komisarzami w znaczeniu, jakiego ten wyraz nabrał w polskiej opinji ludowej podczas długoletniej działalności komisarzy „po krestjanskim dielam”, za poprzedniej inwazyi carów moskiewskich na ziemie polską. I tamci stawali przecie w obronie ludu polskiego wobec ucisku szlachty. Tamci także opierali pomoc swoją dla chłopów polskich na nieprzełomnej łosie bagnatów. Jedna tylko różnica: tamci komisarze nie byli z naszego rodu. Krew polska nie płynęła w ich żyłach! Ci rodacy dla poparcia swej władzy przyodziewali na nasze pola, na nędzne mianosteczka, na dwory i chałupy posiadzieli, na miasta przywołane brudem i zdruzgotane tytoletnią wojną — obcą armję, masę, złożoną z ludzi ciemnych, zgłodniałych, żadnych obławienia się i solidackiej rozputy. W pierwszym dniu wolności, kiedyśmy po tak strasznie długiej niewoli ledwie głowy podnieśli, całą Moskwę na nas zwałili. Na ich sumieniu leżał zgwałcenia przez dziec soldacką naszych dziewcząt i kobiet. Na ich sumieniu leży zniszczenie nie zasobów i skarbow materialnych, bo te mają wartość względną i mogą być powotowane, lecz zniszczenie zabytków przeszłości, unikatów, pamiątek po pradziadkach, ojcach, dziadkach, potużeniem kulami witraży i dzieł sztuki, beznamiętnym trudem artystów wykonanych w kamieniu, drzewie, metalu, malowideł i tworów ludzkiego marzenia, utrwalonych

w opornym materiale, które rzesza ciemna, z moskiewskich rozlogów tutaj przynajna, zdruzgotana, rozkradła, uszkodziła i uniosła, a które już nigdy ludzkiej oczu cieszyć nie będą. Są bowiem przedmioty nie zbytku, lecz czystego artysty, które mają wartość wyższą niż wszystko, czego powinny być niedotykalne, niedostępne, ponieważ mówią do nas z wieczności o wieczności, zamkniętej w nas samych. Za zniszczenie tych przedmiotów ci komisarze są odpowiedzialni. Oni to te wszystkie pisma, druki, zabytki i rzeczy sztuki podali do rąk nie wiedzącego motłochu.

Zachodzi pytanie, jakim się to mogło stać sposobem, że jak niegdys carscy komisarze, tak obecnie sowieckie komisarze, znaleźli drogę do naszych miast i wsi, do naszych kościołów, domów i skarbow sztuki? Jakim się to stało sposobem, że zarówno tamci jak ci, to tu, tam znaleźli posuch u naszego ludu? Trzeba to wyznać otwarcie i bez osłony, że lenistwo ducha Polski, cudem z martwych wskrzeszone, sięgnęło na tego ducha batog bolszewicki. Polska żyła w lenistwie ducha, oplątana przez wszelkie galganiestwo, paskarstwo, lapownictwo, dorobkiewiczowstwo kosztem ogółu, przez walkę biurokratyzmu, dążenie do kariery i nieodpowiedzialnej władzy. Wszystka wzięłość, poczęta w duchu za dni niewoli, zamarała w tym pierwszym dniu wolności. Walka o władzę, istniejąca niewątpliwie wszędzie na świecie, jako wyraz siły potęg społecznych, partji, obozów i stronnictw, w Polsce przybrała kształty monstrualne. Nie ludzie zdolni, zasłużeni, wykształceni, mądrzy, których mamy dużo w kraju, docierali do steru władzy, lecz męzowie partji i obozów, najzdolniejsi czy najspytniejsi w partji lub obozie. Jak po spuszczeniu wód stawu, ujrzeliśmy obmierzłe rojowisko gadów i plazów. Gdy to dostrzeć mógł każdy na widowni publicznej, w głębiach pozostało to samo, co było za dni niewoli. W samem Królestwie żyje olbrzymia armja ludzi bezrolnych i bezdomnych. „Rocznik Statystyczny Królestwa Polskiego” z r. 1914, opracowany pod kierunkiem Władysława Grabskiego, obecnego ministra skarbu, mówi (str. 60): „kategoria ludności, zwanej bezrolną, stanowiącą warstwę robotników rolnych, wyrobników wszelkiego rodzaju i służbę, ludność pochodzenia włościańskiego bez roli i fachu... stanowiła w latach 1901—1918 10% wśród ludności wsi i miasteczek, w 1918 17,2% ludności wiejskiej”. To nie sto tysięcy parobków, mających bądź-cobądź pracę, zarobek i legowisko w czworakach, lecz półtora miliona (wówczas, w r. 1901) mieszkańców błagało się wśród nędzy wsi i miasteczek, żyjące z dnia na dzień na komornem, nie mając gdzieby głowy skłonić. Wówczas pięset tysięcy ludzi chodziło rocznie na roboty sezonowe do Niemiec, a przemysł fabryczny odciągał ze wsi i osad znaczna ilość bezrolnych. W przeciągu dziesiętnastu lat dorosło nowe pokolenie wydziedziczonych. Emigracja sezonowa zatamowana jest przez powojenny stan rzeczy, a przemysł fabryczny nie istnieje. Cóż uczyniliśmy dla tego olbrzymiego narodu bez roli i dachu, przykutego do roli, dla tych komoniaków, wyrobników, dla tego najistotniejszego proletariatu, którego nędza jest w naszych wsiach i miasteczkach, którego nędza rozwiazano z pięć niewoli i możności czynienia, co chcemy? Oto do nich przyjechali w goście trzej komisarze wyszkowscy! Daremnie były głosy, żeby szerokie, wieczerze, najbardziej nowoczesne i najbardziej w owoc najbardziej bogate prawo do ziemi postawili w pierwszym dniu nowego świata pracy we wskrzeszonej ojczyźnie. Nikt nie wysłuchał tych głosów. Gdyby nie było na ziemiach w jedno złączonych, przez los szczęśliwy nam danych, tych rzesz bez roli, które na miliony się liczą w samem tytko Królestwie, które do ziemi są przykute, gdyż odsjęć od niej nie mogą nigdzie, w prawo ni w lewo, — chyba w głąb ziemi tej, w mogię ziemską, — jakbyby byli do naszych drzwi znalazł drogę nieprzyjaciel, co walkę o dolę bezrolnych i bezdomnych za hasło swoje wypisał na sztandarze? Nie zostały wysłuchane głosy, żeby na sztandarze Polski nowe wypisane zostało hasło nie niższe od bolszewickiego, lecz wyższe, świętsze, sprawiedliwsze, mądrzejsze, ponad śnieg bielsze. Śmiano się z głosów tych. I oto teraz na ostrzu bagnetu Chińczyka, w świecie nahałki Kozaka, wśród tyrtoku kulomiotów, nastawionych przez Lotysza przeciwko niewinnie, najczenniejszej w Polsce krwi, przeciek krwi młodzieńczej, miało się nam objawić nowe prawo, narzucone z zewnątrz, prawo wyższe, głębsze, sprawiedliwsze, niż nasze. Stał między nami i tem wójkiem z zewnątrz przychodzącym wielomiljonowy bezrolny i bezdomny lud i miał między ojczyzną i przychodzącym wybierać.

O, Polacy! Niech wasze ręce składają się do modlitwy, albowiem ci bezrolni i bezdomni Polscy wybrałi. To nie że tam i sam ten i ów poszedł z rozpacy za wrogiem. Cały bowiem lud polski poszedł w bój za ojczyznę. Opasali się pasem żołnierskim nędzarze, którzy na własność w ojczyźnie mają tylko grób, i z męstwem, na którego widok oniemiał z zachwyty świat, uderzyli w wojska najędźźców. Od krańca ziemi polskiej do drugiego krańca, gdziekolwiek brzmiała nasza mowa, jeden się podniósł krzyk: „Niech żyje ojczyzna!”. Alboż nie było tak? Alboż nie widział świat tego nieopisanego zjawiska? Zapomniane zostały wszelkie, czyjekolwiek winy, i jak Grecy pod Maratonem, zwyciężyliśmy wroga. Kto w chwili najazdu Moskali na kraj stawał do obrony swego pałacu, dworu, domu, w mieście, swej posiadłości, mieszkania pełnego mebli, obrazów i pamiątek, swej chaty na działku ziemi, zagrody i dobytku, swej posiadłości i stanowiska — widział czego broni, broniąc ojczyznę. Leżąc ten, kto nie posiadał nie zupełnie, stając do obrony ojczyzny, nie wiedział o co walczył. Bronił przyszłego dobra w ojczyźnie. Bronił dobr cudzych, bronił nieżykalności pałacu, szczęśliwego prosperowania dworu, praw do komornego z domu w mieście, bronił mieszkań, których nigdy nie widział i nie zobaczy, bronił wreszcie władzy, która jego samego depce oczekokę bezlitosną stopą. Włościanin, posiadacz ziemi, jest jak krzak przy drodze. Wróg może go nadeptać, kopnąć, posturchnąć, oblać

jego pędy i pręty, lecz sam krzak przydrożny wnet puści nowe płąwiny, odrósł i z wiosną świeżymi liśćmi zazielenieje. Człowiek bezdomny jest jak żdźbło nawozu karmiącego zboża, jarzyny, owoce i ziela krzaków, trawy i kwiaty najbardziej uroczę. Powinno mu być obojętne, kto go w ziemi woryje, kto go depce i kto zeń soki wypija. Jeżeli ten nawóz społeczny, który my depaliśmy, tak samo jak nasi poprzednicy we władzy nad nim — Moskale i Niemcy, ujął karabin i pospolu z panami, z mieszczanstwem, z inteligencją, z gospodarzami na roli i robotnikami fabrycznymi wyrzucił na wroga, w boju krwią ociekł i zwycięstwo pospolu z innymi wywalczył, to ten jego uczynek chyba nas wszystkich obawiaje. Nie ochlap łaski, nie nagroda za przelaną krew mu się należy, lecz oddanie wszystkiego co jest jego w ojczyźnie. Należy podziwować się za lenistwa ducha. Ta sama krew ofiarna i na zawsze dla nas święta, co wytrysła na polu bitwy pod Warszawą z serca bohatera narodu, księdza Skorupki, płynęła strugą z ran bezimiennych polskich żołnierzy, bezrolnych chłopów. Musimy teraz na tę krew się powolować, wzywając naród polski do wielkich społecznych reform, albowiem ci rycerze za przyszość Polski polegli. Precz z reakcją! Rzucajmy, ludzie wolni, kamieniem potępienia na wszystkich pismaków, co do reakcji wzywają lub wzywać będą, co chcą niedole proletariatu bezrolnego ukryć przed narodem, zbagatelizować, zasłonić frazesami! Rzucajmy kamieniem potępienia na piasunów urzędu, którzyby reakcję wdrażali w życie nasze usiłowali! Teraz jest chwila, kiedy Polska może się wydzwignąć z pęt odciecznych! Musimy teraz czynami naszymi przekonać świat, zmusić go do uznania prawdy, iż idee, w których imię umierali nasi żołnierze w walkach z armją czerwoną, stały stokroć wyżej od praw, ukutych w cianym zespole oligarchów Moskwy, które nam ona chciała narzucić. Jeżeli jeszcze nie wcieliłiśmy ich w życie, to nosimy ich obrazy w duszach. Musimy niezbitymi dowodami odeprzeć opinie, jakoby byli narodem panów i szlachty, krajem obskurantyzmu, jakoby nasza armja była „biała armja Pilsudskiego”. Świat pracy na Zachodzie i na Wschodzie, w Anglii, we Francji, we Włoszech, w Ameryce, i w samych Niemczech, i w samej Rosji, musi przyznać, iż nieprawdą jest, jakoby Polska była zandarmem burżuazyjnej Europy, niosącym na ostrzu swej broni kłeskę postępu świata. Nie możemy dopuścić do tego, żeby pokonanie czerwonej armji na polu bitwy w obronie granic naszej ojczyzny, w obronie naszego ludu zjednoczonego w szczerp jednościowej, nierozdzielnej, nierozdzielnej, wieczerze samo-władny, w obronie naszej woli i wolności stanowienia praw własną wolą i dla samych siebie — stało się tryumfem waszkiej bogactw, panów, posiadzieli, a kłeską ludzi ubogich i pogrzebieniem szczytów postępu świata. Pokonawszy bolszewizm na polu bitwy, należy go pokonać w sednie jego idei. Na miejsce bolszewizmu należy postawić zasady wyższe odń, sprawiedliwsze, mądrzejsze i doskonalsze. Trzeba ruszyć z posad Polskę starą, strupieszalą, gnijącą w jadach, która ją nasyciła najędźźcą. Sierniowa burza, która swemi piorunami strząsała tyle głów junackich, oślepiła na wielki tyle oczu harcerskich, w jamę mogły pełneja tytko bohaterkiej energii, musi oczyścić nasze powietrze, zatrute wycieczkami podłości. Po okrzyku: — do broni! — gdy pokój stanie, powinien się rozlegać od krańca do krańca okrzyk równie skuteczny, jak tamten! — do pracy! Jakież to otrom roboty! Jak nieobeszłe morze potrzeby! Stracona Mazury, stracona Warmja, Pomezania, Śląsk Cieszyński! Na Pomorzu stoją puste szkoły, znikomnie pobudowane przez Niemców, a niema w nich nauczycieli, którzyby dzieciom kaszubskim w języku polskim nauki udzielali. I odwraca się od nas Kaszuba. Nie jesteśmy w stanie wybudować trzydziestu kilometrów kolei z Koscierzyny do Wejherowa dla zdybienia większego dostępu do morza, gdyż niedziy Gdańsk zdradza nas, napada i znieważa. Wewnątrz kraju, gdzie tylko spojrzę, wszystko popuste, obniżone, znieudniale. Tyfus, czerwonka, wszys, brud niechlupstwo, brutalstwo, kradzieże, przedpoczwę obyczaję, przepiastowski zabobony, zniszczone drogi, popalone mosty, na stacjach kolejowych jak w chlewach, w wozach dla ludzi bestjaljskie walki o miejsce stojące. W dobie gdy młode rycerstwo polskie szło po noey w bój z Warszawy, w Warszawie paskarz najspokojniej podnosił cenę chleba...

Na ogłós strzałów, rozlegających się za Bugiem, dr. Julian Marchlewski, jego kolega Feliks Dzierżyński, pomazany od stóp do głów krwią ludzką, i szanowny weteran socjalizmu Feliks Kohn — dali drapakę z Wyszki. Pozostał po nich tytko wielki swąd spalonej benzyny, trocha cukru, oraz wspomnienie dyskursów, prowadzonych przy stole i pod jabloniami cieniostego sadu. Przed wyjazdem dr. Julian Marchlewski powtarzał raz wraz melancholijnie: „Miałeś, chłopie, złoty róg, miałeś, chłopie, czapkę z pior... został ci się ino sznur...”